

Lato 2023 – nr 8



kalejdoskop

SPOŁECZNO-KULTURALNY KWARTALNIK POLSKOJĘZYCZNY W IZRAELU

OLGA TOKARCZUK

STAN NIEUSTANNIE WYJĄTKOWY

Są trzy przykazania wolności

RINA BODANKIN

Czy Żyd może zdecydować
o własnej tożsamości?

KAROLINA VANEDE-TZENVIRT

Anusim: jedną nogą
poza religijną ortodoksją

STANISŁAW NAKLICKI

Telawiwski Dworzec Centralny
żyje poza czasem

BASIA URBAN-NINO

Z wizytą w Gazie

Wolność: Kocham, ale czy rozumiem?

tekst Karolina van Ede-Tzenvirt

Temat przewodni ósmego numeru „Kalejdoskopu” - słowo odmieniane w przestrzeni publicznej przez wszystkie przypadki, zwłaszcza ostatnio - często traci swoją moc. Odbierane może być jako banał, pompatyczny frazes. A przecież wolność to jedna z podstawowych potrzeb człowieka, prawo i warunek do rozwoju jego pełnego potencjału.

Dla Izraela to pojęcie podstawowe. Po spędzonych tu dwóch dekadach śmiem twierdzić, że nie traci ono na mocy. Bez przemożnej potrzeby wolności, która towarzyszyła diasporze przez pokolenia, nie byłoby dzisiejszego państwa Izrael. Wiosną świętowaliśmy dwie ważne rocznice: 80. powstania w getcie warszawskim, a zaraz potem 75. ogłoszenia deklaracji niepodległości państwa. Oba wydarzenia bez mała wpłynęły na obraz współczesnego Izraela. Zapewne też dlatego od wielu miesięcy na ulicach i drogach Izraela demonstrują setki tysięcy Izraelczyków. Korzystają z przywileju wolności słowa, który to Izrael, jako jedyne państwo na Bliskim Wschodzie, gwarantuje w sposób nieograniczony. Wszyscy demonstrujący - po jednej i po drugiej stronie barykady - są przekonani, że walczą o utrzymanie tej gwarancji.

W tym numerze „Kalejdoskopu” pochylamy się nad tematem wolności w jej religijnym, społecznym i obywatelskim aspekcie, rozważamy wolność słowa i wolność samookreślenia. Czym jeszcze jest wolność w dzisiejszym Izraelu? Gdzie jest jej granica i co ona oznacza dla innych? Jak zachodzące dziś tak szybko społeczne i kulturalne zmiany wpływają na owe granice? Konserwatywna Jerozolima i otwarty na inność Tel Awiw; społeczności głęboko religijne i środowiska liberalne: w złożonej izraelskiej rzeczywistości granice wolności rysują się bardzo różnie, nie mogą być łatwo określone. Ich meandry tworzą niepowtarzalną sieć.

W wywiadzie, którego udzieliła nam w czasie swojego pobytu w Izraelu laureatka Nagrody Nobla, Olga Tokarczuk, rozmawiamy o jej osobistym spojrzeniu na pojęcie wolności. Pytamy też o Izrael widziany jej oczami i o literaturę żydowską w charakterze.

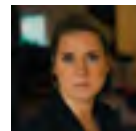
Basia Urban Nino zaprasza na w swoim tekście „Cela z widokiem na morze” do Strefy Gazy. Wbrew wszelkim pozorom to tekst o wolności, choć wyjazd z niej boleśnie uświadamia, w jak uprzywilejowanym świecie żyjemy.

Piszemy również o uchodźcach, którzy w Izraelu na próżno szukają azylu. Tekst „Wolność wydziergana na szydełku” opowiada o wyjątkowej organizacji pod nazwą „Kuchinate” dającej afrykańskim kobietom z południowego Tel Awiwu nadzieję na lepsze życie dla nich i dla ich dzieci.

Pozostając w Tel Awiwie i jego miejskiej tkance, Stanisław Naklicki zabiera nas w najdziwniejszy zakamarek miasta: Centralny Dworzec Autobusowy, miejsce na wpeł opuszczone, dziwaczne a jednak nadal funkcjonujące - choć już tylko na swoich własnych zasadach.

Rina Bodankin pochyla się z kolei nad problemem wyboru tożsamości. Rozważa, czy taki wybór w ogóle jest możliwy, czy jednak jest to coś, z czym się rodzimy i z czym ostatecznie przyjdzie nam umrzeć.

Serdecznie zapraszamy Państwa do lektury kolejnego numeru „Kalejdoskopu”. I oby wolność była dla nas zawsze oczywistością, a nie przywilejem.



KAROLINA VAN EDE-TZENVIRT

(ur. w 1977 r.) - dziennikarka, prelegentka

i prowadząca program kulinarno - kulturowy

o Izraelu „Feesten & Falafels” w holenderskiej

televizji Family 7. Redaktorka „Kalejdoskopu”

i wydawczyni portalu. Autorka przewodników po Izraelu

oraz książki „Zostawić za sobą świat. O poszukiwaniu

tożsamości”. Mieszka w Izraelu od ponad 20 lat.

TEMAT NUMERU
WOLNOŚĆ

Wydawca:

עמותת קליידוסקופ (ע"ר)

KALEJDOSKOP ASSOCIATION (R.A.)

STOWARZYSZENIE KALEJDOSKOP

Redaktorka naczelna: **Karolina Przewrocka-Aderet**,

karolina.aderet@kalejdoskop.co.il

Redaktorka, wydawczyni portalu: **Karolina van Ede-Tzenvirt**,

karolina.vanedetz@kalejdoskop.co.il

Redaktor artystyczny, skład, fotoedycja: **Patryk Piotr Antoniak**,

patryk@kalejdoskop.co.il

Fotograficzka: **Anna Majewska**,

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów i zastrzega sobie prawo do redagowania, skracania lub niepublikowania przesłanych tekstów.

Opinie wyrażone w nadesłanych tekstach są subiektywnymi opiniami autorów i nie muszą odzwierciedlać stanowiska wydawcy i redakcji „Kalejdoskopu”.

Współpraca: **Ewa Szubstarska-Stein**,

Kierowniczka ds. marketingu: **Daniela Malec**,

Kierowniczka ds. funduszy: **Esther Fuerster-Ashkenazi**,

Opieka prawna: **Gosia Gilad**,

Kontakt z redakcją: redakcja@kalejdoskop.co.il

Okladka I fot. **Oren (Adobe Stock)**, **Patryk Piotr Antoniak**

Okladka IV fot. **Oren (Adobe Stock)**

www.kalejdoskop.co.il

ROZMOWA

Stan nieustannie wyjątkowy | 5

z Olgą Tokarczuk

rozmawiają Karolina Przewrocka-Aderet i Karolina van Ede-Tzenvirt

TEMAT NUMERU

Wolność wydziergana na szydełku | 10

Karolina van Ede-Tzenvirt

SPOŁECZNOŚĆ

Człowiek swojej epoki | 13

Julia Borysenko

ARCHITEKTURA

Dworzec Poza Czasem | 17

Stanisław Naklicki

SZTUKA

Cierpienie i pojednanie | 20

Dominik Flisiak

ŻYCIE NA BLISKIM WSCHODZIE

Taniec i rewolucja | 22

Barbara Urban-Nino

SMAK IZRAELA

**Pokaż mi, co jesz,
a powiem ci, kim jesteś** | 25

Katarzyna Sitek

OBRAZ

Wolność | 28

WYDARZENIA

4 | **Zapowiadamy i relacjonujemy**

redakcja

TEMAT NUMERU

8 | **Cena i nagroda**

Rina Bodankin

TEMAT NUMERU

12 | **Okienko na świat**

Karolina van Ede-Tzenvirt

OPOWIADANIE

14 | **Tajemnica Złotego Stoku**

Uzi Reish, Hila Marcinkowska

HISTORIA

19 | **Wszystkie drogi krzyżują się na Negew**

Maciej Waclawik

KSIAŻKI

21 | **Białe miasto dla zaawansowanych**

Agata Krizevski

ZNALEZIONE NA STRYCHU

24 | **Małe espresso**

Fryderyka Tzipi Bauman

PRZERWA! W SZKOLE POLSKIEJ

26 | **Szanując dziecko,
dajesz mu siłę**

Znajdź nas na Facebooku i Twitterze:

[Kalejdoskop. Kwartalnik polskojęzyczny w Izraelu](#)

Projekt jest finansowany
w ramach funduszy polonijnych Ministerstwa
Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej.



Ambasada
Rzeczypospolitej Polskiej
w Tel Awiwie

Sfinansowano ze środków Kancelarii
Prezesa Rady Ministrów w ramach konkursu
Polonia i Polacy za Granicą 2023



Organizujesz wydarzenie ciekawe
z punktu widzenia naszej społeczności?

Pozwól nam o tym napisać!

Czekamy na kontakt:

redakcja@kalejdoskop.co.il

ZAPOWIEDZI

SZTUKA ZAANGAŻOWANA

Król Maciuś podbija Izrael

„W królestwie Króla Maciusia” - wystawa dla całej rodziny, która przyjechała do Izraela prosto z Muzeum POLIN - od czerwca jest prezentowana w Galerii Nad Jeziorem w parku w Ra'ananie. Ekspozycja, zainspirowana powieścią Janusza Korczaka „Król Maciuś Pierwszy”, poświęcona jest zagadnieniom przywództwa, demokracji i podejmowania decyzji. Gra wyobraźnią i interaktywne doświadczenia przenoszą młodszych widzów do świata dorosłych. Bogate kolorystycznie wejście do królestwa Maciusia - ilustrowany labirynt wprowadzający w świat wystawy - zaprojektowała światowej sławy polska ilustratorka Iwona Chmielewska. Stamtąd zwiedzający przechodzą na otwartą przestrzeń przeznaczoną do dyskusji i przemyśleń na temat uniwersalnych idei i problemów ludzkości.

Bilety na wystawę można nabyć na stronie internetowej Urzędu Miasta w Ra'ananie. Ekspozycja jest prezentowana do 19 września.



MUZYKA

Powrót dybuka

Słynna historia rodem z żydowskiego mistycyzmu stała się inspiracją dla najnowszego albumu izraelskiego muzyka jazzowego Yoni'ego Mayraza. „Dybuku, wyjdź!” to produkcja polskiej wytwórni Astigmatic Records, będąca współczesną interpretacją legendarnego dramatu wszechczasów „Dybuk” autorstwa żydowskiego dramaturga Szymona An-skiego. Premiera albumu odbyła się 8 maja, a w sierpniu w Tel Awiwie odbędzie się wyjątkowy koncert, podczas którego fani polsko-żydowskiego jazzu będą mieli okazję posłuchać „Dybuka” na żywo.

Dodatkowe informacje o koncercie znajdują się wkrótce na stronie internetowej Instytutu Polskiego w Tel Awiwie: www.instytutpolski.pl/telaviv.



WYDARZYŁO SIĘ

FILM

Polish Zoom w izraelskich kinach

Święto kina współczesnego pod hasłem „Polish Zoom” to inicjatywa Instytutu Polskiego w Tel Awiwie i Instytutu Adama Mickiewicza, która od 2019 r. stała się już rozpoznawalną marką. W tym roku festiwal trwający przez cały czerwiec po raz pierwszy odbył się we współpracy z Międzynarodowym Festiwalem Filmów Studenckich w Tel Awiwie. Honorowym gościem programu była reżyserka Agnieszka Smoczyńska, która wzięła udział w pokazie swojego filmu pt. „The Silent Twins” oraz poprowadziła warsztaty dla studentów z Izraela i Polski.

Cykl pokazów najnowszych filmów z Polski odbył się we współpracy z izraelskimi kinami Cinematheque w Tel Awiwie, Hajfie i Jerozolimie. W repertuarze znalazły się zarówno klasyka - „Sanatorium pod klepsydrą” J. Haasa - jak i kino współczesne - „Chleb i sól” D. Kocura czy „Filip” M. Kwiecińskiego.



OLGA TOKARCZUK

polska pisarka, eseistka, poetka i autorka scenariuszy, laureatka Nagrody Nobla w dziedzinie literatury „za wyobraźnię narracyjną, która w połączeniu z encyklopedyczną pasją reprezentuje przekraczanie granic jako formę życia”. Laureatka The Man Booker International Prize 2018 oraz - dwukrotnie - Nagrody Literackiej „Nike”.

Stan nieustannie wyjątkowy

z Olgą Tokarczuk
rozmawiają Karolina Przewrocka-Aderet
i Karolina van Ede-Tzenvirt, zdjęcia: Matan Tzenvirt

Olga Tokarczuk: Nie lubię słowa *wolność*: odmienia się je przez przypadki, wiesz na sztandarach. A tak naprawdę sprawa jest prosta, trójprzykazaniowa: szanuj drugiego człowieka, nie przekraczaj jego granic, nie zadawaj mu cierpienia.

Kalejdoskop: Jakie pytania padły w pociągu relacji Jeruzolima-Tel Awiw tego dnia, gdy wracała Pani ze stolicy wraz z dziesiątkami protestujących przeciwko rządowym reformom?

Olga Tokarczuk: - Rozpoznało mnie dwóch młodych mężczyzn. Okazało się, że czytali „Księgi Jakubowe”: skarżyli się, że były długie, ale też pochwalili, że udało im się dobrać do końca. Potem do rozmowy zaczęli dołączać inni pasażerowie. Pewien starszy pan urodził się w Polsce i wyjechał w latach 50. Wciąż mówił bardzo dobrze po polsku i chwalił się, że czyta moje książki w oryginale. Rozmawialiśmy o protestach, o tym, co dalej wydarzy się w Izraelu, a także o podobieństwach i różnicach między Izraelem i Polską pod tym względem.

Spotykamy się w liberalnym Tel Awiwie, w kraju, u którego podstaw stało pragnienie wolności. Przeżywamy w tym roku kilka ważnych rocznic: 75. rocznicę powstania Izraela, 80. rocznicę wybuchu powstania w getcie warszawskim. W Izraelu te rocznice budzą wielkie emocje. Ulicami miast przechodzą gigantyczne demonstracje, których uczestnicy są przekonani, że stają w obronie demokracji. Jak Pani jako pisarka, dla której wolność jest podstawą twórczego działania, odbiera dzisiaj ten kraj?

Będąc w Tel Awiwie zwracamy z mężem uwagę na pewną pokusę, której chętnie ulega umysł przybysza: żeby być ślepy na wszelkiego rodzaju niuanse życia w Izraelu i dążyć do białoczarnej opowieści, żeby to wszystko uprościć. Jestem tego świadoma i bardzo się pilnuję; zwracam uwagę na nieoczywistości, na rzeczy, które rozumiem, ale i na te, których jeszcze nie pojęłam.

Pochodzę z zupełnie innego kręgu kulturowego, z innego klimatu, w związku z czym Izrael to dla mnie kraj przede wszystkim bardzo egzotyczny. Czuć tutaj Bliski Wschód, Śródziemnomorze. To jest też kraj, który na pierwszy rzut oka dla Europejczyka wydaje się szorstki. Ludzie są bardzo bezpośredni, nie owijają się w różnego rodzaju grzeczności, które w Europie są wręcz celebrowane. Na początku pobytu przez dłuższy czas miałam więc wrażenie, że to jest na pograniczu niegrzeczności. Po czym zrozumiałam, że to kwestia panującego tutaj zupełnie innego ducha.

To kraj, który jest w stanie ciągłego konfliktu. Przywiązanie do grzeczności, estetyzmów jest dużo mniejsze niż u nas w Europie. Tutaj ludzie mniej przejmują się formami zewnętrznymi, bardzo natomiast doceniają to, co jest

pragmatyczne, użyteczne. Staram się też zrozumieć, że taka jest cała sytuacja polityczna i kulturowa Izraela. I bez zrozumienia tego, że to jest kraj militarny, w stanie konfliktu, który dodatkowo okupuje ziemię swojego sąsiada, nie jesteśmy w stanie pojąć tej kultury, nieustannie pozostającej w stanie wyjątkowym.

Dla każdego, kto przyjedzie ze względnie spokojnej Europy, młodzież na ulicach z bronią jest czymś szokującym, wręcz budzącym strach. Potem o tym się zapomina i to się staje oczywiste, normalne, a nawet jakoś przyjemne, że jest się bezpiecznym. Już się przyzwyczaiłam do broni i żołnierzy na ulicach. Choć muszę przyznać, że gdy przedwczoraj wróciliśmy z mężem z Jordanii, spotkanie z izraelską granicą znów było dla nas szokiem.

Wspomniała Pani o szorstkości w obyciu, a wydaje nam się, że czuć ją także w samym języku hebrajskim. Jest on bardzo „ekonomiczny”: krótkie słowa, konstrukcje oszczędniejsze niż np. w języku polskim. Jak przebiegała współpraca z Miriam Borenstein, tłumaczką „Ksiąg Jakubowych”? Jak pracuje się nad tłumaczeniem do języka, w którego kulturze osadzona jest książka, a który dla autorki jest językiem obcym?

Dla mnie samej wciąż jest to niesamowite, że odważyłam się na napisanie tej książki, nie rozumiejąc mnóstwa rzeczy. Nie da się zrozumieć w ciągu kilku lat zawiloci mistycyzmu żydowskiego, mesjanizmu i herezji. Trudno przeniknąć głębiej w szczególną kulturę Żydów wschodnich w XVIII wieku. Mam świadomość, że z tą książką rzuciłam się na głęboką wodę i poświęciłam jej ogrom czasu. Owszem, uczyłam się trochę hebrajskiego, ale szybko okazało się, że zabrałam się za to zbyt późno. Hebrajski jest dla mnie trudny. Ale i tak w tym krótkim procesie udało mi się dostrzec to, o czym mówicie - jego ekonomiczność i tą niesamowitą wewnętrzną inteligencję tego języka. Dla osoby początkującej jest to na pograniczu czegoś magicznego - że język może być tak skonstruowany, że może być ekonomiczny, zwarty, trochę przypominając puzzle, łamigłówkę. Jest fascynujący, nieustannie mnie do niego ciągnie. Na razie uczę się pojedynczych słów. Wciąż chciałabym go dobrze poznać.

Oczywiście Miriam nie tylko tłumaczyła tę książkę, ale i wraz z dwoma cudownymi i mądrymi konsultantami tutaj w Izraelu poprawiali moje pomyłki, które wynikały nie tylko z mojej ignorancji, lecz także z tego, że miałam



do czynienia w źródłach z ułomnym hebrajskim. Uczniowie Jakuba Franka, którzy spisali jego nauki, nie znali już hebrajskiego albo znali go niedobrze. Zapisywali pojęcia z błędami. Miriam i obaj konsultanci, Avriel Bar-Levav i Jonatan Meir, to wszystko wylapywali i prostowali.

W świecie żydowskim „Księgi Jakubowe” zostały przyjęte z entuzjazmem. W jednej z recenzji autor nazywa je wręcz „żydowską powieścią”. Jak pisarzowi udaje się wejść na taki poziom łączności z żydowską duszą? Czy czułość, wrażliwość i świadomość wspólnoty losów tu wystarczą?

Przyjmuję to jako komplement, choć nie mam pojęcia, jakie są kryteria żydowskiej powieści. Sądzę, że ta książka może dlatego jest tak intensywna, że była pisana z bardzo głębokiej, emocjonalnej, mentalnej, intuicyjnej potrzeby do wypełnienia opowieścią tych dziur w historii, jaką znamy. To według mnie bardzo ważne, by móc opowiadać historię jako swego rodzaju continuum. Tak jak wielu należę do pokolenia, które w latach 90. odkrywało to, że w Polsce czegoś brakuje, że oto coś było, ale nagle zniknęło, i że zostało puste miejsce, jakieś dziwne budynki, zarośnięte trawą cmentarze, jakieś napisy i świadomość potwornej tragedii. Mieliśmy o tym jakąś ogólną wiedzę, ale kiedy byłam dzieckiem, niezbyt chętnie mówiło się o Żydach. Mam wrażenie, że kiedy dorodziśmy, to popadliśmy - mówię o moim pokoleniu - w jakąś obsesję, by dowiedzieć się jak najwięcej, czasem odszukać własne korzenie,

ale przede wszystkim przywrócić pamięć temu wszystkiemu, bez względu na to, czy się ma korzenie żydowskie, czy się ich nie ma. Uważam, że dla kultury polskiej to przypilnowanie ciągłości i opowiedzenie przeszłości jest strasznie ważne. Historii Żydów w Polsce nie można przecież sprowadzać tylko do Holokaustu. To kilkaset lat wspólnej historii i chyba jedyny na mapie świata przykład, jak dwie kultury gęboko w siebie wrosły.



Bardzo mnie ten temat dręczył, chciałam wiedzieć, jakie były korzenie polsko-żydowskiej historii. Wtedy trafiłam na temat Jakuba Franka. Już na początku wydał mi się bardzo pojemną metaforą świata, który jest dużo bardziej zróżnicowany i dziwny, niż nam się wydaje. Opowiadając o Jakubie Franku, opowiadałam w gruncie rzeczy o procesach godzenia się z własną tożsamością, próbami zmiany tożsamości, z asymilacją, adaptacją, z odrzuceniem, z przyjmowaniem obcych do społeczeństwa. W tej historii jest wszystko to, co nadal nas ciekawi i fascynuje. W gruncie rzeczy to książka bardzo współczesna.

Z czym wiąże się Pani aktualny pobyt w Izraelu?

Przyjechałam nie tylko w poszukiwaniu inspiracji, ale też w celu robienia konkretnych badań do następnych książek. Opowieści, których tutaj wysłuchuję, są niesamowite i cały czas podkreślają niezwykle związek, który Polska ma z Izraelem. Tych relacji, które zostały zadziergnięte przez ostatnie 150 czy 200 lat historii, nie da się tak łatwo rozerwać.

Gdy rozmawiam na przykład ze starszymi ludźmi, którzy przyjechali tutaj z Polski, to fascynuje mnie, jaka to jest ogromna część polskiej kultury, która tutaj wciąż trwa w specyficzny sposób: w zachowaniach, gestach, powiedzonkach. To

właśnie przyjechałam tutaj śledzić. Wzrusza mnie to. Myślę, że nie ma na świecie drugiego takiego przykładu zapętlenia się tych kultur. Bo nie byłoby polskiej kultury - zawsze to powtarzam - bez Żydów w Polsce. Teraz jesteśmy świadkami biologicznej zmiany pokoleń i w Polsce, i w Izraelu. I zapewne te związki starszych Izraelczyków z Polską umrą wraz z nimi. Nawet jeżeli dzieci mówią po polsku, czy mają wiedzę o tym, że ich dziadkowie czy rodzice pochodzili z Polski, to już są zupełnie gdzie indziej mentalnie.

„Cudza wolność w ogóle jest kłopotliwa. Ci, którzy cieszą się wolnością, zazwyczaj nie chcą przyznać jej innym” – pisze Pani w „Czującym narratorze”. W tych słowach kryje się bolesna prawda o współczesnym świecie, ale w Polsce i Izraelu z różnych przyczyn te słowa brzmią szczególnie ostro.

Szczerze mówiąc nie lubię słowa „wolność”, bo jest ono odmieniane przez przypadki, wieszane na sztandarach, ludzie chętnie wycierają sobie nim usta. A tak naprawdę sprawa jest prosta, powiedziałabym - trójprzykazaniowa, dotycząca podstawowej moralności: szanuj drugiego człowieka, nie przekraczaj jego granic, nie zadawaj mu cierpienia. Właściwie to całe huczne słowo „wolność” sprowadza się do wolności pojedynczego człowieka. Dopiero procesy polityczne i historia zaczynają używać tego słowa w innych celach - zapewne patrząc na wielkie mapy czy na wydarzenia historyczne. A jeżeli w jakimś kraju są obywatele drugiej kategorii, to nie możemy mówić, że króluje w tym kraju wolność.

Tu, w Tel Awiwie, izraelskiej „bańce” oderwanej od izraelskiej i bliskowschodniej rzeczywistości, można chyba nieco odetchnąć?

W Izraelu jestem po raz czwarty. Odnoszę wrażenie, że to jest kraj tak różnorodny, tak złożony i tak trudny do pojęcia, że zapewne trzeba tutaj spędzić znacznie więcej czasu, by go dobrze poznać. W Tel Awiwie bardzo dobrze się czuję. W Jerozolimie mieszkalam tylko raz: przyznając, że to było dla mnie nietławe doświadczenie. Jerozolima jest dla mnie zbyt intensywna.

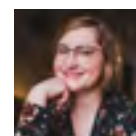
Dlaczego? Nadmiar różnorodności pojętych religijności?

Gdy przyjechałam tam po raz pierwszy, doznałam szoku, nawarstwienia emocji. Poszłam na samotny spacer, weszłam w uliczki Starego Miasta. Akurat szła jakaś chrześcijańska procesja: krzyże, śpiew, modlitwy. Potem usłyszałam głośny, zawodzący śpiew muezina. Na koniec wyszłam na plac przy Ścianie Płaczu i ujrzałam gorliwie modlących się ludzi. Rozplakałam się na ulicy, poczułam jakiś nadmiar, wręcz drapieżność tego miejsca, religijną obsesję ze wszystkich stron, niebezpieczny, inny stan ludzkiej świadomości, która nie jest gotowa

na kompromisy. Nie jestem religijną osobą, więc taka intensywność tego przeżycia dosłownie mnie obezwładniła. Fascynuje mnie zjawisko syndromu jerozolimskiego. Pisałam o nim w „Biegunach”.

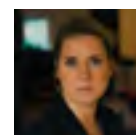
Udało mi się też jednak doświadczyć innej twarzy Jerozolimy. Mam teraz takie zadanie, że chodzę do Biblioteki Narodowej i szperam w bibliotece Gershoma Scholema. Szukam „drobiazgów”, bo mnie w pisaniu zawsze potrzebne są jakieś drobiazgi - bo tylko literatura jest w stanie przekazać świat w takich detalach, w smakach, zapachach, historyjkach. Poszliśmy oglądać dom, w którym mieszkał Gershom Scholem. To był niesamowity człowiek, którego postać w jakimś sensie towarzyszy mi od początku, bo kiedy pisałam Księgi Jakubowe, był mi on bardzo pomocny. To był absolutny geniusz. Dzisiaj jego dom w pięknej jerozolimskiej dzielnicy Rechavia jest przeznaczony do zburzenia. Bardzo tego żałuję, zastanawiam się, czy władze miasta nie powinny go jakoś ochronić, może zrobić jakąś izbę pamięci? Gdy poznaję Jerozolimę od takich podwórek, widzę, jakie to piękne miasto. Bardzo się zmieniło od mojego pierwszego pobytu, rozbudowało i unowocześniło.

Brałam udział w protestach w Tel Awiwie i w Jerozolimie i widziałam determinację Izraelczyków w walce o zachowanie standardów demokracji. Zazdroszczę wam umiejętności samoorganizacji i konsekwencji, które bardzo przydałyby się nam w Polsce.



KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

(ur. w 1987 r.) – redaktorka naczelna „Kalejdoskopu”, dziennikarka, stała współpracowniczka „Tygodnika Powszechnego”. Autorka „Polanim. Z Polski do Izraela”.



KAROLINA VAN EDE-TZENVIRT

(ur. w 1977 r.) – dziennikarka, prelegentka i prowadząca program kulinarno - kulturowy o Izraelu „Feesten & Falafels” w holenderskiej telewizji Family 7. Redaktorka „Kalejdoskopu” i wydawczyni portalu. Autorka przewodników po Izraelu oraz książki „Zostawić za sobą świat. O poszukiwaniu tożsamości”. Mieszka w Izraelu od ponad 20 lat.

Cena i nagroda

tekst Rina Bodankin

Czy można wybrać przynależność narodową? Jak zrozumieć fakt budowania polskiej tożsamości przez Żydów za cenę ukrycia i wymazania żydowskich korzeni? Ceną są kłamstwa, niedomówienia i ukrywanie rodzinnych sekretów. Nagrodą jest uwolnienie od antysemityzmu.



Odpowiedź na pytanie o kwestię wyboru żydowskiej tożsamości jest złożona. Pierwsza nasuwa mi się postać Marka Edelmana, przywódcy powstania w getcie warszawskim i antysyjonisty. Przed wojną należał do Bundu, Socjalistycznego Powszechnego Żydowskiego Związku Robotniczego i mimo, że pod koniec lat pięćdziesiątych organizacja przestała istnieć w Polsce, pozostał wierny jej ideałom. Jej członkowie opowiadali się za autonomią kulturową środowisk żydowskich i byli przeciwnikami asymilacji oraz antysyjonistami. Edelman nie miał złudzeń co do skali polskiego antysemityzmu. W okresie pogromu kieleckiego trzymał w domu cały arsenał broni. Jednak wybrał Polskę, świadomie przyjmując szykany związane ze swoim pochodzeniem. Izrael nigdy nie był dla niego opcją. Twierdził, że w Izraelu powstanie nowa kultura, która z europejskim żydostwem ostatnich kilkuset lat nie będzie miała nic wspólnego. Do niedawna wydawałoby się, że miał rację - choć ostatnio z powodu zmian demograficznych i politycznych Izrael staje się państwem coraz bardziej religijnym. W oczach Edelmana taki rozwój wypadków również nie przybliżyłby go do kultury żydowskiej, bo religijności nie znosił. „Żydowska ciemnota jest jeszcze gorsza niż katolicka” - twierdził z niechęcią.

Zostać z tymi, którzy zginęli

Nawet antyżydowska nagonka w 1968 roku nie zdołała go zniechęcić. Mimo, że jego żona i dzieci opuściły kraj, on pozostał w Polsce. Musiał zrezygnować z posady w szpitalu, a Uniwersytet Łódzki odrzucił jego pracę habilitacyjną. Niestrudzenie jednak, pomimo szykan, służył Polsce: działał w Komitecie Obrony Robotników (KOR), był członkiem „Solidarności”, a w latach 1989-1993 - posłem na Sejm.

Pytany, dlaczego nie wyjechał z Polski, nie powoływał się na patriotyzm, lecz mówił: „Ktoś przecież musiał zostać z tymi wszystkimi, którzy tu zginęli”. Zapytany, co znaczy dla niego ojczyzna, odpowiadał: „mieszkanie, dom, podwórko. I piątka czy dziesiątka przyjaciół”. Człowiek bez patosu.

Jego wybory były proste i konsekwentne. Natomiast wyparcie się narodowej tożsamości jest procesem długim i często poniżającym. W tym kontekście urzekła mnie opublikowana w Polsce pod koniec 2022 roku książka Jarosława Kurskiego „Dziady i dybuki”, opisująca asymilację żydowskiej części rodziny autora.

Czy można wybrać przynależność narodową? Jak zrozumieć fakt budowania polskiej tożsamości przez Żydów za cenę ukrycia i wymazania żydowskich korzeni? Cena i nagroda. Ceną są kłamstwa, niedomówienia i ukrywanie rodzinnych sekretów (z drugiej strony, kto z nas nie ma takich przemilczanych domowych historii?). Nagrodą jest uwolnienie od antysemityzmu. Tysiące zasymilowanych polskich Żydów musiało zdecydować się na emigrację w 1968 roku. Próba spolszczenia nie powiodła się. Zostali głównie ci, których żydowskich korzeni nie sposób było udowodnić.

„Prawdziwy Polak”

Jarosław Kurski, znany pisarz, dziennikarz i publicysta, pierwszy wicenaczelnym ogólnopolskiej „Gazety Wyborczej”, zdecydował się opublikować książkę o żydowskich przodkach swojej matki.

O „Dziadach i dybukach” rozmawiał z nim na łamach „Wyborczej” Michał Nogaś (30.09.2022). Kurski odkrył żydowskie korzenie swojej matki

przypadkiem, chcąc zdementować nieuzasadnione pogłoski o jej semickim pochodzeniu. Matka zareagowała, jak to określił w wywiadzie, „egzystencjalnym przerażeniem”, ostrzegając go, że nie wie nawet, jaki los szykuje sobie i swoim dzieciom, i że nie zdaje sobie sprawy ze skali antysemityzmu w Polsce. Kurski, wychowany jako rdzenny Polak, chyba rzeczywiście nie do końca to rozumiał. „Dziwnie się składa, że, jak pisał Julian Tuwim, zarówno „aryjskie rzeczoznawce, wypierdy germańskiego ducha”, jak i ortodoksyjni rabin, zgodnie będą mnie uważali za Żyda. Jedni, bo mam domieszczę trującej semickiej rasy, drudzy, bo niby żydowską tożsamość dziedziczy się po matce. Ja te kategorie odrzucam” - mówi Kurski w wywiadzie.

Czy rzeczywiście jednak człowiek może zdecydować o swojej narodowości? Tożsamość narodowa, co to właściwie znaczy? Czy można zmienić pochodzenie etniczne? Niestety nie. Można tylko zmienić przynależność kulturową albo identyfikację z przynależnością etniczną. Na pytanie, czy Żyd w jednej ósmej powinien być uważany za Żyda, ostatni krzyk mody - Chat GPT - odpowiada dyplomatycznie, że to zależy od indywidualnego wyboru. Czyli jednak jest to możliwe, pod warunkiem akceptacji ze strony grupy, do której chce się przyłączyć. W tym tkwi cały dramat pokoleń spolszczonych Żydów, nie uznawanych przez Polaków za ich „prawdziwych rodaków”.

Mentalny chrzest

Kurski pisze o swoich żydowskich przodkach: zasymilowana, zreformowana burżuazja żydowska pozostająca w związkach małżeńskich między sobą. Według Kurskiego, w okresie powstania styczniowego dawało się jeszcze żyć złudzeniami, że można być Polakiem wyznania mojżeszowego, zanim narodziła się koncepcja

etnicznie czystego Polaka-katolika. Jego pradziadek brał udział w powstaniu, za co został uwięziony i stracił dużą część majątku. Jego pradiadkowie przyjęli chrzest. Ale wśród Polaków brak już było miejsca dla obcych konwertytów. Cioteczny dziadek Karskiego, znany historyk, sir Lewis Namier, słysząc przypadkowo antysemicką rozmowę okolicznych ziemian o swoim ojcu, został syjonistą, mimo całkowicie polskiego wychowania. Babka Karskiego wzięła się w kresowe ziemiaństwo. Pięknie położony dwór, gdzieś między Buczaczem a Tarnopolem, świetna biblioteka, ciekawi goście i rozmowy, guwernantki, starannie dobrani prywatni nauczyciele dla dzieci - całkowite mentalne odcięcie od żydostwa. Ale sprawa nie jest taka prosta - bo przecież ludzie pamiętają. Rodziny do końca nie akceptują ani Żydzi, ani Polacy. Podczas okupacji - najpierw we Lwowie, później w Warszawie - udaje im się ukryć swoje pochodzenie. Dopiero jednak przeprowadzka do Gdańska umożliwia matce Karskiego całkowitą wolność. Kontakty z żydowską rodziną utrzymywane są w tajemnicy przed synami. Asymilacja uwieńczona sukcesem. Aż szkoda, że jeden z nich, nieświadomy „goj”, który zechciał o tym napisać książkę, zniweczył wysiłki paru pokoleń.

Nowy Żyd, nowy Polak

Ciekawa książka Karskiego pokazuje świat, o którym niewiele wiemy - zamożnych Żydów, ziemian na wschodzie Polski, polskich patriotów, zakochanych w polskiej kulturze, dążących do osiągnięcia statusu społecznego przez asymilację i chrzest. Trudno nie utożsamiać się z ich wysiłkiem umknięcia trudnemu



żydowskiemu losowi, pogromom i w końcu Zagładzie. Z chwilą utracenia wiary nic już nie trzymało ich w żydowskiej społeczności.

Utrzymywanie w sekrecie żydowskiego pochodzenia nie jest w Polsce niczym niezwykłym. Sama znam parę takich rodzin. Unikalne jest natomiast opublikowanie książki w walce o inną Polskę, mniej wobec Żydów uprzedzoną.

A jak może zareagować na tę książkę nasza, też przecież spolszczona, emigracja?

Osobiście, powiedziałabym tej inteligentnej, przedsiębiorczej i wykształconej rodzinie: zostawcie to, szkoda czasu, wasze marzenie o integracji nigdy się nie spełni. Może matka Karskiego, wyjeżdżając w 1968 roku, nie musiałyby się dalej wstydzić swojego pochodzenia?

A co na tę publikację powiedzieliby czytelnicy w Izraelu? Otóż sądzę, że Żydzi tu urodzeni nigdy nie rozumieją uporczywej walki o asymilację. Nigdy naprawdę nie rozumieją antysemityzmu i uczucia obcości we własnej ojczyźnie. Nigdy też nie rozumieją, że Żydzi mogą nazywać Polskę, czy jakikolwiek inny kraj, swoją ojczyzną. Bo przecież powinien nią być wyłącznie Izrael, a Izraelczycy są dumni ze swojego żydostwa.

Marek Edelman - którego w związku z antysyjonizmem Izrael wymazał z narodowej pamięci o powstaniu w warszawskim getcie - ewidentnie miał rację. Powstaje tu, w Izraelu inna kultura i jeszcze nie wiadomo jakie przyjmie oblicze. Natomiast przynajmniej jeden problem - doświadczania antysemityzmu na własnej skórze i chęci ucieczki od tożsamości - został rozwiązany.



RINA BODANKIN

urodzona i wychowana w Łodzi. Jako nastolatka wyjechała z rodzicami do Izraela. Absolwentka biochemii i zdrowia publicznego na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. Wieloletnia badaczka chorób nowotworowych w szpitalu Hadassa w Jerozolimie oraz kierowniczka funduszu na rzecz badań chorób zawodowych. Podczas warsztatów translatorskich zorganizowanych przez Instytut Polski wyróżniona za najlepszą pracę końcową. W tej chwili pracuje nad hebrajskim przekładem książki Mikołaja Łozińskiego „Stramer”.

Wolność wydziergana na szydełku

tekst Karolina van Ede-Tzenvirt

Tysiące Afrykanek zamieszkujących południowy Tel Awiw ubiegają się o azyl, walcząc codziennie o godne życie. Ich status prawny jest nieuregulowany przez państwo, a ich perspektywy na przyszłość wyglądają dość marnie. Pomocną dłoń wyciąga do nich niezwykle projekt: organizacja pozarządowa o nazwie „Kuchinate”.



fot.: Miriam Alster

W Izraelu mieszka w tej chwili ponad 30 tysięcy uchodźców i ubiegających się o azyl Afrykańczyków. Tyle mniej więcej mieszkańców liczy Zakopane. Całe miasto ludzi, którzy ze strachu przed śmiercią lub przemocą i z nadzieją na znalezienie lepszego miejsca na ziemi musieli opuścić swoje domy, często z narażeniem życia. Przybysze z Sudanu i Erytrei, którzy dostali się do Izraela przez leżący w Egipcie Synaj, nie zastali jednak otwartych ramion lepszego świata. Izrael co prawda zapewnia im ochronę, ale pomimo możliwości ubiegania się o prawny status uchodźcy do tej pory przyznał go zaledwie nielicznym osobom. Reszta, w tym już kolejne pokolenie, które przyszło na świat w Izraelu, pozostaje w kraju jako tzw. ubiegający się o azyl. Ich prawo do pozostania w Izraelu regulowane jest przez rządową politykę tymczasowej ochrony.

Mieszkam w Izraelu od ponad 10 lat. Mieszkam na Mount Zion Boulevard w dwupokojowym mieszkaniu. Czwórka moich dzieci śpi w jednym pokoju, ja mieszkam w salonie, a mąż na balkonie. Dołączyłam do „Kuchinate” w 2013 r., ale nie mogłam tam pracować, bo w 2011 r. po ogłoszeniu niepodległości Sudanu Południowego, Izrael zdecydował, że Sudańczycy powinni zostać tam deportowani siłą. Moja córeczka musiała mieć operację, a ponieważ byłyśmy już umówione, otrzymałam specjalną notatkę z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Nigdy nie wychodziłam bez niej z mieszkania i dzięki temu zawsze jakoś się wymykałam. Nigdy nie wywieźli mnie do Sudanu.

Mąż i dzieci ukrywali się w mieszkaniu, a mój mąż wychodził do pracy tylko w nocy. Moi przyjaciele, którzy zostali zmuszeni do powrotu do Sudanu, przebywają teraz ze swoimi dziećmi w obozach dla uchodźców w Ugandzie i Egipcie - opowiada Lina Otom Jak Agolon, cytowana przez stronę Kuchinate.com.

Spora część uciekinierów to oczywiście kobiety - często z dziećmi lub w ciąży. To właśnie one dużo bardziej narażone są na prześladowania. Wiele z nich doświadczyło wyjątkowo ciężkich przeżyć - głodu, gwałtów, handlu ludźmi, śmierci najbliższych po drodze przez pustynię. Ich droga do wolności trwała nierzadko latami, pieszo, przez wschodni Sudan i półwysep Synaj. Tam spotykały się z przemocą, również seksualną, zdane były na łaskę i niełaskę handlarzy ludźmi i przemytników. Do Izraela przyjeżdżają traumatyzowane, poniżone, często w ciężkim stanie psychicznym. Nierzadko też są w ciąży, która jest efektem gwałtu. Ich poczucie beznadziejności pogarszają bardzo ograniczone możliwości pracy, brak godnych warunków życiowych, dyskryminacja na tle płci i częste nadużycia seksualne (zarówno ze strony samych uchodźców jak i Izraelczyków).

Za Kuchinate.com: *Brhena Gebrhiwet pochodzi z Erytrei. Do Izraela przyjechała w grudniu 2011 roku. Dostała się tam przez Etiopię, w której przeczekać musiała z miesiące, następnie była przez miesiąc w Sudanie, i w Libii, gdzie przebywała przez półtora roku. Tam urodziła się jej córka.*

Jej ówczesny mąż opuścił je i przyjechał do Izraela bez nich. Kiedy jej córka miała niecałe z miesiące, udały się samotnie do Izraela przez Synaj.

Przekraczający nielegalnie granicę migranci wysłani byli do dwóch zamkniętych ośrodków dla uchodźców - Holot i Saharonim, w których spędzali od kilku miesięcy do kilku lat. Ostatecznie decyzją Izraelskiego Sądu Najwyższego ośrodki zostały zlikwidowane. Stamtąd przesiedlono ich mieszkańców do południowego Tel Awiwu i pozostawiono prawie całkowicie samym sobie. Ich prawa, możliwość legalnej pracy, dostęp do opieki zdrowotnej, edukacji są do dziś znikome.

Ejigayehu Worku - matka trzech zmarłych synów i córki, z którą straciła kontakt, przyjechała do Izraela sześć lat temu i spędziła cztery lata w więzieniu w Ramle, z powodu braku wizy. Teraz mieszkam w małym pokoiku w mieszkaniu na ulicy Salame. Czterech mężczyzn dzieli pokój obok mnie, a w drugim pokoju mieszka kobieta z dziećmi. Wszyscy mamy wspólną łazienkę, prysznic i kuchnię. Mieszkanie okropnie śmierdzi i wszędzie biegają myszy. W więzieniu czułam się lepiej, bo tam były czyste toalety i prysznice i mnie szanowano. Moim marzeniem jest mieć czysty dom w kraju, który mnie zaakceptuje. Chcę żyć jak człowiek - mówi strasza już Ejigayehu.

W 2011 roku powstał wyjątkowy projekt - ekonomiczny i psychospołeczny kolektyw dla afrykańskich kobiet ubiegających się o azyl

– „Kuchinate” – co w języku tigrinia znaczy „szydełkowanie”. Projekt ten, działający na rzecz ubiegających się o azyl kobiet w południowym Tel Awiwie, opiera się na afrykańskiej sztuce ludowej i tradycyjnym rękodzielnictwie. Uciekinierki z Sudanu, Erytrei i innych krajów Afryki, poprzez uczciwą pracę i godziwe zarobki odzyskują swoją godność i nadzieję na lepsze jutro dla siebie i swoich rodzin. Kobiety projektują i własnoręcznie wykonują swoje wyroby (przede wszystkim robione na szydełku kosze), organizują imprezy, warsztaty szydełkowania i tradycyjne ceremonie parzenia kawy. „Kuchinate” organizuje również wystawy, współpracuje z muzeami i posiada sklep w dzielnicy Nachalat Shiva w Tel Awiwie. Cały dochód ze sprzedaży dzieł i wyrobów przeznaczony zostaje na działalność socjalną organizacji.

Kuchinate pomogło mi stać się niezależną. Wcześniej byłam bezrobotna, nie miałam pieniędzy i utrzymywała mnie rodzina; ale teraz zarabiam, mam miesięczną pensję. (...) Marzę o tym, żeby móc zapłacić za cały pokój tylko dla siebie w mieszkaniu - mówi jedna z artystek - Favor Agabo, która uciekła z Nigerii z powodu konfliktu o podłożu religijnym.

fot.: Aya Wind



Tsega Kebede pisze: W Izraelu pracuję jako sprzątaczką, ale w Erytrei byłam nauczycielką w szkole podstawowej w ramach mojej 7-letniej służby wojskowej. Uczylam biologii, nauk ścisłych, matematyki i malarstwa dzieci w wieku od 7 do 16 lat. W Erytrei zawsze szylałam, robiłam na drutach i malowałam, nawet kiedy byłam w wojsku. Za te niewielkie pieniądze, które mi dawali, kupowałam materiały do tworzenia mojej sztuki. Organizacja ASSAF (Organizacja Pomocy Uchodźcom i Osobom Ubiegającym się o Azyl w Izraelu - przyp. red.) skierowała mnie do Kuchinate rok temu, po tym, jak przeszłam operację żołądka. Nie doszłam jeszcze do siebie i nadal często choruję, ale bycie częścią Kuchinate mnie uspokaja, a kobiety zawsze mnie wspierają. Moim marzeniem jest być zdrową i żeby Bóg pozwolił mi mieć dziecko - mówi kobieta

„Kuchinate” umożliwia setkom kobiet odbudowanie swojego życia poprzez wsparcie psychospołeczne i umożliwienie samodzielności ekonomicznej. Pomoc w rozwijaniu ich umiejętności i talentów rękodzielniczych, administracyjnych oraz handlowych pozwala je upodmiotowić i stworzyć przestrzeń do walki z traumą. Społeczność, jaką tworzy organizacja, obcowanie ze sztuką, z tworzeniem

oraz terapia uchodźczyń, odmieniło jak dotąd życie setek kobiet.

Do zrobienia jest jeszcze bardzo wiele. Aktywiści niestrudzenie walczą o podstawowe prawa społeczności ubiegających się o azyl w Izraelu. Ich sprawa okazuje się być wyjątkowo problematyczna w kraju, gdzie zamieszkanie wiąże się z bardzo restrykcyjnymi wymogami narodowo-religijnymi. I może właśnie dlatego, właśnie w świetle historii narodu, który dzisiaj odmawia statusu uchodźcy tak wielu uciekającym przed wojną i przemocą ludziom, hasło wypisywane na obdrapanych ścianach południowego Tel Awiwu, jest tak bardzo na miejscu. „We were all once refugees”.

Wszystkie cytaty pochodzą ze strony internetowej Kuchinate.com. Cytowane kobiety są artystkami pracującymi i tworzącymi w ramach tej organizacji.



fot.: Michael Topyol

Okienko na świat

tekst Karolina van Ede-Tzenvirt

Większość mieszkańców ultraortodoksyjnej Geuli czy Mea Szearim żyje wygodnie, otoczona ciepłem zamkniętej społeczności. Są jednak wśród nich tacy, którym zaczyna brakować tlenu. Dołączają do *anusim* - ultraortodoksyjnych Żydów, którzy odrzucili religijne życie zgodnie z zasadami halachy i tradycji żydowskiej, lecz ukrywają to jeszcze przed swoją społecznością. Zanim zdobędą się na odważny krok odejścia, szukają ukojenia gdzieś tam, w połowie drogi.

Zajęty przewodzką Avi nie tracił czasu i z zapalem szukał drogi ucieczki. W nocy, kiedy wszyscy już spali i nikt nie mógł go przyłapać, spędzał długie godziny przed ekranem swojego starego laptopa. Szukał ludzi takich jak on, tęskniących za wolnością i tkwiących w beznadziejnie skomplikowanej rzeczywistości. Przecież wie, że istnieją. Kogoś już tu i tam poznał, gdzieś tam już był: na jakimś spotkaniu, na jakiejś imprezie. Musi ich być więcej. Musi do nich dołączyć.

Na internetowej stronie o nazwie Tapuach odkrył w końcu Avi swoje nowe miejsce, swoją nową rodzinę. Charedim beal korcham, „Haredim wbrew woli” – anonimową, sekretną wręcz grupę, internetowe forum. Tamtej nocy Avraham Filiński nadał sobie nowe imię. Zeevi 110 - pod tym pseudonimem, jak nowo narodzony, wszedł w świat ludzi dokładnie takich samych jak on, z tym samym dręczącym problemem. A wszystko to w wielkiej tajemnicy, po kryjomu, po nocach, jak spotkania anonimowych alkoholików, w lęku, że ktoś zauważy, jak wchodzi do budynku na kolejną sesję.

W wirtualnym świecie, w czatowych pokojach, w białym okienku na ekranie Avi, a raczej Zeevi, odkrywał powoli jeszcze jeden świat, o którym nie miał pojęcia. Świat anusim - ludzi, którzy jeszcze nie odeszli, jeszcze tkwią, jeszcze tlą się ich małe płomyki w ultraortodoksyjnej rzeczywistości, ale jedna noga jest już gdzieś tam za bramą, za ciężką zasłoną. Jeszcze się boją, jeszcze nie czas, ale codzienność dusi; żona, mąż, chavruta zaczyna coś podejrzewać, dzieci przyłapały na papierosku w sobotę. Żyją więc oni tak jak żył Avi, nadal w znany sobie od lat sposób, ale tylko na pokaz, trzymając fason, udając, utrzymując pozory. Pod osłoną nocy zrzucają ciężar skromnych ubrań, zakazów i micw i stają tym, o czym od dawna marzą. Od czasu do czasu, pod pozorem wyjazdu, zakupów, czy czegoś tam jeszcze, jadą na plażę, do baru, do miasta, między niereligijnych. Dziewczyny ściągają grube rajstopy, perukę, zakładają bikini



fot.: archiwum autorki



rys.: Karolina van Ede-Tzenvirt

i kupują egzotyczne drinki na Banana Beach w Tel Awiwie. Po południu wracają do domów w tych samych rajstopach, w tych samych perukach, by ugotować kolację gromadce dzieci. Wieczorem w umówionych barach spotykają się pary, małżeństwa, które godzinę wcześniej zostawiły potomstwo z dziadkami. Wchodzą do środka, zdejmują nakrycia głowy, całują się na powitanie z innymi, których poznali w internecie, na tajnych forach. Zamawiają drinki, zapalają świeżo skręconego jointa czy papierosa. Chwila wytchnienia. Normalny świat, w ciemności schowanego przed wszystkimi baru.

Na początku Zeev istniał tylko na ekranie, w wirtualnej rzeczywistości. W końcu jednak zdobył sobie na tyle zaufania, że na spotkanie „w realu” umówił się z nim sam Amram Lichtenshtein, przedstawiciel anusim i ich niekoronowany przywódca, który kilka lat później opuścił świat ortodoksów wraz z żoną i czwórką dzieci. Amram przepytał Aviego, upewnił się, że jest godzien zaufania ich społeczności i nie zdradzi nikomu nazwisk żyjących podwójnym życiem chasydów, po czym oficjalnie przyjął go do grona anusim. Otworzyły się kolejne drzwi. Teraz Avi był już tylko przebierańcem.

Piętorko w restauracji Karma w Ein Kerem, Tuvia Bar na ulicy Koresh, tylne pomieszczenie knajpki Marakija – tam spotykali się w Jerozolimie anusim. Tam Avi znalazł swoje miejsce, swój świat, o którym istnieniu nie miała pojęcia jego żona. A jeśli coś tam kiedyś słyszała, coś obito się jej o uszy, to z pewnością nie wpadłaby na myśl, że jej przykładowy mąż, z powracającymi co jakiś czas krzysami wiary, do tego świata należy.

Fragment książki Karoliny van Ede-Tzenvirt „Zostawić za sobą świat. O poszukiwaniu tożsamości”, Świat Książki 2023.

Człowiek swojej epoki

tekst Julia Borysenko

Przez dziesiątki lat byli dla polskich Żydów w Izraelu przewodnikami pomiędzy odległymi światami: polskim i izraelskim. Edmund i Ada Neustein nie tylko zachowywali polską kulturę za granicą. Stali się też przykładem, jak nawet w dorosłym wieku można odnaleźć się w nowych dla siebie warunkach, i że nie warto się poddawać.

Edmund „Monek” Neustein urodził się w 1917 roku w Drohobyczu leżącym dziś na terytorium Ukrainy. Jednym z jego nauczycieli w gimnazjum, do którego uczęszczał, był znany pisarz pochodzenia żydowskiego, mistrz słowa i rysunku - Bruno Schulz.

Zaraz po wybuchu II wojny światowej Edmund został zmobilizowany i jako żołnierz Armii Czerwonej brał udział w walkach na froncie - aż do czasu, gdy został ranny pod Stalingradem (współcześnie Wołgogradem w Rosji). Kiedy wyzdrowiał i chciał wrócić do Polski, jako miejsce do życia wybrał Katowice.

To miasto jest szczególnie ważne w życiu Edmunda: to tam poznał swoją przyszłą żonę Adę, wówczas studentkę bibliotekoznawstwa. Ada okazała się niesamowitym wsparciem dla swego męża przez całe ich wspólne życie. Była kobietą pełną energii, która potrafiła postawić na swoim. Małżonkowie dopełniali się idealnie. Monek z jednej strony kochał polską literaturę i język, z drugiej zawsze pamiętał o tym, że jest Żydem. Niestety nie mógł o tym zapomnieć również z powodu uprzedzeń i dyskryminacji, które doprowadziły do gwałtownej zmiany w jego życiu.

W drugiej połowie lat 50. atmosfera polityczna w Polsce stała się wyjątkowo nieprzyjazna wobec obywateli pochodzenia żydowskiego. W 1956 roku Edmund w wieku prawie 40 lat zdecydował się na wyjazd z Polski. Oczywiście nie sam - wyemigrował razem z Adą. Jego działalność w Polsce była mocno związana ze światem książki, a przeprowadzając się do Izraela podjął decyzję o kontynuacji swojej ścieżki zawodowej.

Wraz z żoną założyli - jak się później okazało - legendarną księgarnię pod adresem Allenby 94 w Tel Awiwie. Niewielkie pomieszczenie stało się nie tylko punktem handlowym dla spragnionych polskiej książki bibliofilów, ale też miejscem spotkań polskich Żydów, którzy tak samo jak Edmund zmuszeni byli do emigracji, tęsknili za swoim domem, językiem i ludźmi. Ta księgarnia była dla nich miejscem siły i pierwszym przystankiem w trudnej drodze emigranta do odnalezienia siebie w nowej rzeczywistości.

Księgarnia Neusteinów nie była pierwszym sklepem, w którym można było kupić książki w języku polskim. Wśród wszystkich jednak to ona przetrwała najdłużej. Przez ostatnie lata swego życia Neustein zdawał sobie sprawę z tego, że ten szczególny okres, który mu przypadł w udziale,



JULIA BORYSENKO

(ur. w 1995 roku w Kijowie) - studiowała psychologię kliniczną na Uniwersytecie SWPS w Warszawie. Uczestniczyła w programie Erasmus, podczas którego spędziła jeden semestr na Uniwersytecie Friedricha Schillera w Jenie. Obecnie mieszka w Jerozolimie. Od kilku lat współpracuje z polskim kwartalnikiem *Zupełnie Inny Świat*, gdzie między innymi koordynowała numer poświęcony tematowi Ukrainy.

powoli przemija. Dla dzieci i wnuków emigrantów z Polski językiem macierzystym był już hebrajski. Coraz mniej osób swobodnie czytało po polsku. Jeszcze mniej chętnych było do kupna książek.

W 2001 roku Edmund Neustein zmarł w wieku 83 lat. Przez kolejne trzy lata księgarnię prowadziła jego żona. Niestety, po jej śmierci księgarnia została zamknięta.

Mogłoby się wydawać, że w tym miejscu historia o legendarnym księgarzu Monku dobiega końca. Pamięć o nim nadal jednak żyje. 12 maja 2023 roku biblioteka Polskiego Instytutu w Tel-Awiwie, który jest obecnie największym ośrodkiem kultury polskiej w Izraelu, została nazwana imieniem Ady i Edmunda Neusteinów. Na uroczystości zebrało się wielu ich znajomych, którzy dzielili się swoimi wspomnieniami i dziękowali za pomoc, którą kiedyś otrzymali od legendarnej pary.

Historia Edmunda i Ady ważna jest nie tylko pod względem zachowania kultury polskiej za granicą. Oboje stali się przykładem, jak nawet w dorosłym wieku można odnaleźć się w nowych dla siebie warunkach i że nie warto się poddawać. Z pewnością dlatego też potrafili być tak ogromnym wsparciem dla innych.



Tajemnica Złotego Stoku

tekst Uzi Reish, Hila Marcinkowska



**Izraelczyk Uzi Reish przyjeżdża na urlop do starego domu
właściciela kopalni złota w dolnośląskim miasteczku.
To nie będą sielskie wakacje. Kim są ludzie, w których łóżku
będzie odtąd zasypiał? I czy zdoła im wybaczyć?**

Uzi, tak jak wielu Izraelczyków, przyjeżdża do Polski, aby zobaczyć miejsca w których żyła jego rodzina. Odczuwa potrzebę obejrzenia domów i miejsc z rodzinnych wspomnień, chce poczuć klimat i zapach Polski. Do wizyty przygotował się w bardzo nietypowy sposób: przez dwa semestry uczył się polskiego w Instytucie Polskim w Tel Awiwie. Z rodzinnego domu wyniósł zaledwie kilkanaście słów, więc nauka była niemalże od podstaw.

Język polski Uziemu nie jest perfekcyjny, ale na tyle dobry, że potrafi komunikować się z ludźmi i rozumieć odnajdywane archiwalne dokumenty. Podczas jednej z jego podróży do Polski zabrałam Uziemu do Złotego Stoku, do domu mojej przyjaciółki Doroty. Domu, jakich wiele na Dolnym Śląsku, z historią, którą nowi właściciele chcieli poznać i którą szanują.

Spaliśmy w pokojach i łóżkach, w których kiedyś sypiali niemieccy właściciele domu, jedliśmy ich sztucami z ich talerzy. Dziwne uczucie, pomieszane ze wstydem z powodu korzystania z ich domowych sprzętów, ale i z nieokreślonym poczuciem zwycięstwa. Trochę się obawiałam, jak Uzi przyjmie to, co w złotostockim domu będzie go otaczało. Ale on zakochał się w historii domu dyrektora kopalni złota, a efektem jest poniższy tekst: o domu, przyrodzie i miasteczku, ale też o winie i rozgrzeszeniu.

Hila Marcinkowska

W czerwcu 2020 roku Dorota udostępniła swoim przyjaciołom z grupy podróżników, z którą przyjechałem, swój wakacyjny dom w Złotym Stoku. Połowę piętrowego domu odziedziczyła po swojej cici. Dom wybudował na początku XX wieku Karl Buchloh, dyrektor niemieckiej kopalni złota. Wuj Doroty był pierwszym burmistrzem miasta, które w 1945 roku zostało przekazane polskim osadnikom. Dom niemieckiego dyrektora kopalni został znacjonalizowany, a nowemu burmistrzowi, jako najważniejszemu człowiekowi w mieście, przydzielono ten właśnie obiekt. Willa położona jest w najlepszej części miasta, na górze z widokiem na cały Złoty Stok.

Kiedy ciotka i wuj Doroty wprowadzili się do domu, musieli wyremontować część ścian zniszczonych przez rosyjskich żołnierzy poszukujących ukrytego ponoć złota. Nawet dzisiaj niektórzy goście podążają za swoją wyobraźnią, pukając tu i ówdzie w ściany, w oczekiwaniu na dźwięk wewnętrznej przestrzeni ukrywającej skarb.

Wehikuł czasu

Nad dachem budynku, wznosi się maszt „łapacza piorunów”, którego szczyt pokryty jest kilkudziesięcioma gramami złota. Nawet rosyjscy żołnierze uhonorowali tę znajdującą się na szczycie domu „ikonę” i pozostawili ją nietkniętą. Piorunochron pozostaje symbolem i sztandarem ambicji jego fundatorów.

Ciotka Wanda była najwyraźniej zafascynowana oryginalną zawartością domu, nadal mieszkała z tymi samymi meblami, tą samą antyczną ceramiką i szkłem, i tymi samymi piecami opalonymi węglem, które służyły do ogrzewania domu i podgrzewania wody w kranach. Dorota, która pielęgnuje i szanuje pamięć swojej ciotki, równie gorliwie strzeże mieszkania, pozostawiając je niemalże takim, jakim je zastała, bez wymiany narzędzi i sprzętów na nowoczesne. Każdy, kto przyjeżdża na wakacje do tego mieszkania, nadal korzysta z patelni i garnków z 80 - letnią historią. W miesiącach jesiennych bulgoczą w nich grzyby zebrane podczas porannych wędrówek. Latem na stole kładą się kosze pełne rozmaitych owoców i roślin zebranych w lesie. Pobyt w tym domu to tak naprawdę pobyt w muzeum, doświadczenie stylu życia sprzed niemal 100 lat.

Rozumiem, że także moi bliscy - ci, których znałem i wielu, którzy zginęli i których nie mogłem poznać, żyli przed wojną w nieco podobnej rzeczywistości. Zapewne też ogrzewali swoje pokoje takimi piecami węglowymi, smażyli na ciężkich żeliwnych patelniach, prali ubrania na falistych blachach, kąpali się w wannie takiej, jaką znaleźliśmy na strychu.

W składziku, który prowadzi na strych, na podłodze, znajdują się wiadra z węglem używanym do ogrzewania domu. W starej dębowej szafie, na dolnej półce, znajduje się plecak z plandeki. Na środku wypisano wyblakły dziś tekst: adres, pod który wysłano pakunek. Można się z niego dowiedzieć m.in., że dzisiejsza nazwa miasta - Złoty Stok - brzmiała przed wojną Reichenstein. W tym plecaku Wehrmacht zwrócił matce żołnierza rzeczy osobiste jej najmłodszego syna, który zginął pod koniec wojny. Jak się okazuje, dwaj starsi synowie zostali wcześniej zabici pod Stalingradem. A więc wszyscy trzej synowie dyrektora kopalni zostali wysłani przez lojalnego sługę Rzeszy do służby dla Führera. Wszyscy „wrócili” w trumnach.

Najwyższa cena

W Katowicach znajduje się Muzeum Historii Polskiego Górnictwa. Zdjęcie z wystawy pokazuje dyrektora złotostockiej kopalni, który właśnie zbudował sobie dom. Dumny sługa Niemiec z żelaznym krzyżem na piersi, szabłą na udzie i modnym wąsem, podobnym do tego, który nosił Führer. Psotny uśmiech sugeruje mi, że niski mężczyzna trzymający szabłę, biegły w dżganiu swoją bronią, nie był wart zaczepki.



Na werandzie swojego domu Dorota opowiada, że sam Karl nigdy nie wrócił, aby odwiedzić dom, z którego został wyrzucony. Ale jakieś trzydzieści lat po deportacji wysłał swojego siostrzeńca, aby zobaczył i opisał mu, jak to miejsce wygląda dzisiaj. Młody człowiek spotkał się z Wandą,

ciocią Dorotą, i powiedział jej, że jego wuj płakał, prosząc go, by tam pojechał. Wanda otrzymała później list od Karla, w którym dziękował obecnym lokatorom za szacunek i zachowanie domu w stanie, w jakim został zbudowany.

Co pozostało samotnemu mężczyźnie pod koniec jego życia, po stracie wszystkich trzech synów? Być może pamięć swojej młodości, szczęśliwej rodziny, pamięć poszukiwań złota, wielkich nadziei, a w centrum tego wszystkiego - pamięć o pięknym domu, który wtedy zbudował. Wcale nie ma znaczenia, kto w nim mieszka dzisiaj i kto będzie w nim mieszkał w przyszłych pokoleniach. Dziś stoi tu jako pomnik.

A może Karl zdał sobie też sprawę, że nie zasługuje na powrót, że za wojnę i wielki błąd, który popełnił, jest jakaś cena?

Zastanawiam się, jak to się stało, że właśnie ten człowiek musiał zapłacić tak wysoką cenę. Przecież większość niemieckich zbrodniarzy wojennych, żołnierzy zatrudnionych w obozach zagłady, okrutnych oprawców i sprawców masowych mordów, w ogóle nie została ukarana, lub, po krótkim pozbawieniu wolności, uwolniona. Co prawda on również zatrudniał w czasie wojny przymusowych robotników i był lojalnym nazistą, jednak spadł na niego długi łańcuch kar, których więksi od niego przestępcy nie doznali.

Zwykle nie żałuję Niemców. Gdzieś nawet ucieszyło mnie zesłanie nie-szczęść na dawnych właścicieli domu. Jest dla mnie jasne, że synowie Karla musieli zostać zabici pod Stalingradem, aby oni sami zabili jak najmniej żołnierzy walczących przeciwko nim. Ale jednak widzę też tragedię, widzę go jako kolejne wcielenie Hioba, na którego spadają jedno po drugim nieszczęścia. Jako przykład ludzkiej tragedii, do której człowiek zostaje wybrany, by dźwigać osobiście wielkie cierpienia.

To prawda, że biblijny Hiob nie należał do narodu, który sprowadził tak okrutną katastrofę na świat. Jak starożytni alchemicy, którzy bawili się substancjami - arsenikiem i złotem, tak Karl Buchloh przeskakiwał między szlachetnością a nikczemnością, aż został pochłonięty ze swoimi totemami i marzeniami w gęstą tragiczną chmurę.

Jeśli chodzi o te koleje losu, wydaje mi się, że dobrze jest to skonsultować z przemyśłym krasnoludkiem, który od co najmniej stu lat leży w domu na podłodze łazienki. Odsuwa się tylko trochę na bok, gdy od czasu do czasu odnawia się lub czyści podłogę. Przez resztę czasu rozmawia, zbiera wspomnienia i spostrzeżenia od każdego, kto się tam znajduje, i nadal uśmiecha się ze zrozumieniem i przebaczeniem.

UZI REISH (ROTBART)

urodzony w kibucu Kfar Menachem w rodzinie emigrantów z Polski (ojciec z Kalisza, matka z Warszawy).
Mieszka w moszawie Nir Cwi. Właściciel firmy inżynierskiej w branży żurawi wieżowych. Członek Komitetu Ziomkostwa Kaliszan w Izraelu.

HILA MARCINKOWSKA

działaczka społeczności żydowskiej w Polsce, aktywny członek Gminy Wyznaniowej Żydowskiej we Wrocławiu. Przewodnicząca Rady Religijnej Związku Gmin Wyznaniowych Żydowskich w RP. Autorka książek i licznych artykułów z zakresu historii, religii i tradycji polskich Żydów, publikowanych w Polsce, USA, Izraelu, Wielkiej Brytanii, Ukrainie. Mieszka w Kaliszu.

Dworzec poza czasem

tekst Stanisław Naklicki, zdjęcia Anna Majewska

Jeszcze niedawno w antykwariacie na telawiwskim Tahana Merkazit można było kupić oryginalne plany budynku z lat 60. Trudno o lepszą miarę niepowodzenia niż chęć zarobku na szokującej różnicy między oczekiwaniami a rzeczywistością.

„To dziwaczne miejsce” - mówi Lavie Tidhar, izraelski autor science-fiction, zapytany o główny dworzec autobusowy w Tel Awiwie. W swojej powieści „Central Station” opisuje dworzec w dalekiej przyszłości jako międzyplanetarny port. Mnie również szybko zaczął się wydawać niepasującym elementem w układance Tel Awiwu, tego kosmopolitycznego, nadmorskiego miasta pełnego pięknych, szczęśliwych ludzi. Postrzegane przez pryzmat na wpół opuszczonego węzła komunikacyjnego, miasto nagle oddala się od wizerunku śródziemnomorskiej metropolii, a zbliża do bardziej stereotypowych wyobrażeń o Bliskim Wschodzie.

By dotrzeć na Dworzec Centralny – Tahana Merkazit - wystarczy podążać na wschód ulicą Levinsky, zaczynając się targiem w dzielnicy Florentin. Można też wysiąść na stacji Hagana, jednym z trzech przystanków kolejowych w centrum Tel Awiwu, i skierować się na zachód. Pomiędzy nimi leży dzielnica Neve Sha'anana – po hebrajsku: spokojna osada. Niedługo jeden z ambitnych projektów mieszkaniowych dla nowych osadników przybywających do Palestyny, dziś siedziba migrantów i uchodźców z Sudanu, Erytrei i innych odległych krajów, poszukujących w Izraelu pracy i schronienia.

Zakłętę rewiry

Gigantycznego molocha wklejonego w sam środek dzielnicy nie sposób przegapić. Nic dziwnego: telawiwski Dworzec Centralny to największy przystanek autobusowy na świecie. Jego betonowa, brutalistyczna bryła ma układać się w proste „L”, ale przez swój rozmiar i geometryczny architektoniczny rozmach zdaje się przyjmować inne kształty, gdy spacerujemy wzdłuż jego murów. Każde wejście – jak zwykle

w Izraelu - obsadzone jest ochroną, jednak ochroniarze nie reagują już, gdy bramka ciągle piszczy. Trochę tak, jakby detektor metalu stawał się portalem do innego świata, którym rządzą specyficzne dworcowe prawa. Bo nie wiem, jak inaczej wytłumaczyć fakt, że w centrum Tel Awiwu – miasta przesyconego konsumpcją – znajduje się przestrzeń handlowa i społeczna, w której znakomita większość lokali świeci pustkami. Spacer po parterze rozpoczyna się ciasnym korytarzem ze sklepami z bielizną prowadzonymi przez przybyszów z Etiopii i Nigerii. Wyjście na główną halę sprzyja dalszej dezorientacji. To olbrzymia otwarta przestrzeń, ze ścianami i sufitem z surowego betonu, bez jednego nawet okna. Raczej zadaszona hala targowa niż nowoczesny budynek.

Wbrew złudzeniu, że wciąż znajdujemy się na parterze, tablica oznajmia, że oto jest poziom trzeci. Jedno spojrzenie przez balkon na niższe piętra i okazuje się, że są one niemal zupełnie opuszczone, przypominają wyrwę w ziemi. Gdzieś tam, w dole, na dnie Dworca Centralnego znajduje się schron nuklearny. Na poziomie trzecim z kolei muzykę słychać z wielu źródeł. Sprzedawcy z papierosami w dłoniach podkręcają głośniki z techno. Wzrok przykuwa stoisko, którego dach szczelnie okutany jest kolczastym drutem. Dominującym językiem wciąż jest hebrajski, choć domyślam się, że funkcjonuje on tu raczej tylko jako lingua franca, tak jak angielski w świecie na zewnątrz.

Poza czasem

Dworzec Centralny jest miejscem wyjętym z czasu. Trudno nazwać go futurystycznym: jego zapyziałe zakamarki i tanie ekrany ledowe niewiele mają wspólnego z dzisiejszymi wyobrażeniami o przyszłości. Nie da się go

też nazwać reliktem przeszłości: jego wielokulturowy pejzaż w państwie zamkniętym dla nie-żydowskiej ludności napływowej jest dobitnym portretem postępującej hiperglobalizacji. Zamiast tego Dworzec Główny przypomina alternatywną wizję przyszłości znaną z poprzednich dekad: kojarzy się z Łowcą Androidów.

To nie powinno zaskakiwać. Zaprojektowany w latach 60. przez młodego Rama Karmi, miał wprowadzić brutalizm do zdominowanego przez Bauhaus Tel Awiwu. Aryeh Pilz, deweloper odpowiedzialny za budowę nowego dworca, planował zmienić budowlę w centrum telawiwskiego handlu i życia w ogóle. Od początku zatem budynek miał stanowić odrębny ekosystem, „miasto pod jednym dachem”. Spoglądając na tę posępną, mroczną przestrzeń, nietrudno dojść do wniosku, że coś poszło nie tak.

Dziś wewnątrz dworca przypomina krajobraz po upadku. Barwniejsze miejsca na jego mapie przypominają kapsuły czasu. Do tej kategorii zalicza się ryneček z kuchniami świata, czy centrum kultury jidysz - Young Yiddish, gdzie koncerty muzyki klezmerskiej odbywają się pod trzęsącym się od kół autobusowych betonowym sufitem. Jeszcze niedawno można tam było odnaleźć antykwariat, który wystawiał na sprzedaż między innymi oryginalne plany budynku z lat 60. Trudno o lepszą miarę niepowodzenia, niż chęć zarobku na szokującej różnicy między oczekiwaniami a rzeczywistością.

Nietrafiony projekt

Założenie, że tysiące mieszkańców miasta będą ściągali do Neve Sha'anana, wydawało się osiągalne pięćdziesiąt lat temu. Niegłupi pomysł: wsiąść do autobusu w nowoczesnym,



wielofunkcyjnym kompleksie dworcowym, ale również tam zjeść, zrobić zakupy albo spotkać się ze znajomymi. Lavie Tidhar wspomina, że dziesięć lat temu jego gospodarz z Jaffy zabrał go do perskiej restauracji w Neve Sha'an. Ściany obwieszane były zdjęciami celebrytów, którzy odwiedzili lokal przed trzydziestoma laty. Dzielnica miała wówczas inny potencjał.

Dziś jest bardziej niż oczywiste, że nikt nie otworzy tu modnej restauracji. Wzdłuż jedyne deptaka w Neve Sha'an rozciągają się sklepy zaspokajające potrzeby wielu grup narodowych, dla których dzielnica stała się nowym domem. Etiopski bar i fryzjer rozdzielone są chińskim sklepem z elektroniką, po drugiej stronie ulicy mieszczą się filipińskie delikatesy. Turyści, owszem, przewijają się, najczęściej jako uczestnicy wycieczek organizowanych przez alternatywne biura podróży w Tel Awiwie, które chcą pokazać „inną twarz miasta”. Trudno odpowiedzieć na pytanie, czy jest to bardziej docenienie lokalnej mieszanki kultur, czy raczej „pornografia biedy”. Podobne wycieczki do paryskich czy londyńskich przedmieść mogłyby wywołać falę kontrowersji.

Zdaniem Tidhara mieszkańcy Tel Awiwu wolą przemilczeć istnienie Dworca Centralnego i Neve Sha'an. Nawet jeśli to przesadzone stwierdzenie, ciekawy jest fakt, że jego powieść na temat Dworca - bestseller science-fiction na niektórych rynkach - w Izraelu sprzedała się jedynie w kilkuset egzemplarzach. Jako nieudany megaprojekt w kraju, który stoi podobnymi przedsięwzięciami, faktycznie może być solą w oku Izraelczyków. Pustynia Negew została okiełnana ryzami agrykultury i przekształcona w olbrzymią farmę słoneczną. Wybrzeże Tel Awiwu zamienione z kolei w idylliczną plażę i idealne zielone trawniki. A obok tego brudny,

brutalistyczny potwór, zagłębienie przestępczości i ludzi żyjących w szarej strefie.

Migranci w oazie spokoju

Istnienie Neve Shana'an wykracza poza wyobrażenia Izraelczyków na temat ich największej metropolii i samych siebie jako społeczeństwa. Wymagało czasu i wysiłku ze strony tutejszych twórców kultury, by zacząć pisać o różnorodności społeczeństwa Izraela. Wszelkie debaty pod kątem definicji społeczeństwa izraelskiego, nie mówiąc już oczywiście o „izraelskości”, skazane są zwykle na burzliwy przebieg.

Kosmopolityczność Tel Awiwu objawia się nie tylko wielością odwiedzających go turystów z Europy i Ameryki. Neve Sha'an jest na swój sposób trzecim bytem w duecie Tel Awiw-Jaffa. Ani żydowskie, ani arabskie. Teoretycznie to miejsce przejściowe, gdzie migranci przyjeżdżają na chwilę, tak jak autobusy na Dworzec Centralny. Z drugiej strony ich obecność tam jest już stała i zapewne będzie się zwiększać. Pomiędzy Dworcem Centralnym, wieżą zegarową w Jaffie a Neve Tzedek można narysować trójkąt. Trzy dzielnice należące do jednego miasta, wszystkie istniejące współcześnie, a jednak każda należąca do osobnej kultury lub amalgamatu kultur. Podążając bokami tego trójkąta, na przykład Shalma Road, można ujrzeć Tel Awiw jako miasto rozciągnięte w przestrzeni, ale też w czasie. Od palestyńskiej Jaffy, przez Neve Tzedek, syjonistyczny projekt dwudziestego wieku, aż po Neve Sha'an, arenę starcia współczesnego etno-państwa z wizją zglobalizowanej przyszłości, gdzie warunki dyktują migracje doby kryzysów politycznych i klimatycznego.



STANISŁAW NAKLICKI

Student polityki bliskowschodniej, obecnie przez rok na Uniwersytecie w Tel Awiwie w ramach wymiany studenckiej. Interesuje się bliskowschodnim procesem pokojowym, mniejszościami narodowymi w Izraelu i relacjami pomiędzy Polską a Izraelem. W wolnym czasie podróżuje po regionie. Marzy, by kiedyś przeprowadzić się do Jerozolimy.

Wszystkie drogi krzyżują się na Negewie

tekst Maciej Waćławik

Dziś prawie pusta, gorąca i błagająca o wodę pustynia Negew, którą Izraelczycy wielkim wysiłkiem starają się obudzić do życia, kiedyś tętniła nim bez pardonu. To na niej krzyżowały się kupieckie szlaki, spotykały karawany, a oazy zamieniały się w zaskakujące nowoczesną architekturą osady.

Od kąd nasi przodkowie zeszli z drzew i wyruszyli we własną, ewolucyjną podróż, pozostawali w ciągłym ruchu. W pogoni za obiadem, a czasami w ucieczce przed nim, szukając nowych dóbr, którymi mogli zaimponować sąsiadowi, czy też gnani ciekawością, co też znajduje się za kolejną górą czy rzeką. Około 70 tysięcy lat temu dotarli do niewidzialnych granic Afryki i po wykonaniu kolejnego, historycznego kroku, rozpoczęli kolonizację pozostałych kontynentów, przedzierając się przez tereny obecnych pustyń: Wyżyny Synajskiej i pustyni Negew.

Od tego czasu, do dziś zresztą, obszar ten jest areną wielkich wydarzeń historycznych. To tutaj ścierały się potęgi mocarstw, tutaj walczyli wojownicy, od starożytnych Egipcjan po Australijczyków walczących w imieniu Jego Królewskiej Mości, czy samych Izraelczyków w pierwszych latach istnienia niepodległego państwa. Tamtędy podróżowali kupcy ze wschodu, zachodu, południa i północy, wioząc swoje towary do najdalszych zakątków globu. To tutaj przez 40 lat dwanaście plemion stawało się Narodem Wybranym, tworząc podstawy największych współczesnych religii i globalnej kultury. Przez tysiące lat podróżnicy nie zatrzymywali się jednak na dłużej. Do czasu...

W III wieku p.n.e. na lokalną arenę dziejów wkroczyli Nabatejczycy. Ten semicki lud, przybyły kilka wieków wcześniej najprawdopodobniej z Półwyspu Arabskiego, zasymilował się

z Edomitami zamieszkującymi tereny dzisiejszej Jordanii. To oni stopniowo stworzyli imperium kontrolujące szlaki handlowe przebiegające przez pustynne tereny, a także wychodnie asfaltu nad Morzem Martwym, plantacje kadzidłowców i produkcję kadzidła i balsamu, cenionego za właściwości lecznicze i kosmetyczne. Bogactwo, które zgromadzili, przyciągnęło w końcu uwagę Rzymian, którzy 22 marca 106 r. n.e. bez większych oporów i potyczek wcielili ich ziemie do Cesarstwa i utworzyli na nich prowincję o nazwie Arabia.

Dobrodziej Rzym

To właśnie Nabatejczycy jako pierwsi zaczęli wznosić stałe struktury na terenach Pustyni Negew. Początkowe małe karawanseraje (postoje), oddalone od siebie o około 20 km – średni dystans, jaki była w stanie pokonać dziennie karawana kupiecka – z czasem zaczęły obrastać dodatkowymi zabudowaniami ułatwiającymi ich funkcjonowanie. Najprawdopodobniej w taki właśnie sposób powstały Elusa (Halutza), Mamshis (Mamshit), Nessana (Nitzana), Oboda (Avdat) czy Sobata (Shivta), które swój największy rozkwit przeżywały pod panowaniem rzymskiego okupanta. Kiedy przedstawiciele „Narodowego Frontu Wyzwolenia Judei” z nieco kontrowersyjnego „Żywotu Brian’a”, zastanawiali się, co takiego zawdzięczają Rzymianom, mieszkańcy Negewu wiedzieli, że wszystko. Tylko dla Rzymian możliwym było przekształcenie jednego

z najbardziej nieprzyjaznych do życia regionów w rolniczą potęgę. Ufortyfikowano pas od portu w Gazie, aż po wybrzeża Morza Martwego siecią małych fortów określanych łacińskim terminem quadriburgium lub greckim tetrapyrgos. Tak utworzona granica – limes Palestinae – nie tylko zabezpieczała wnętrze imperium, lecz także gwarantowała bezpieczeństwo podróży. Samym żołnierzom, tzw. limitanei, po zakończonej służbie nadawano 1 dunam (ok. 1000 m²) ziemi uprawnej, z której byli w stanie pozyskać do ok. 150 kg zboża lub nawet 800 l wina – nie powinny zatem dziwić tłocznie winogron lokalizowane w obrębie negewskich osad. Ani winna latorośl, jak i zboża (pszenica, jęczmień), ani nawet oliwki, nie są roślinami endemicznymi dla regionu, za to stanowią składowe tzw. pakietu romanizacyjnego. Władze cesarskie przywiozły ze sobą nie tylko nowe rośliny uprawne, ale także nowe rozwiązania architektoniczne, a nawet społeczne. Powszechnie obecne są konstrukcje bazujące na łukach i sklepieniach, nieznanymi wcześniej w regionie, dzięki którym budowle stawały się bardziej monumentalne. Ponadto Rzymianie zaczęli budować na pustyni typowe raczej dla miejskiego krajobrazu łaźnie które, gdy obserwuje się rozwój i rozprzestrzenianie się kultury arabskiej, stały się spadkobiercą antycznej tradycji w świecie islamu.

Zostali tylko pasterze

Po latach i zmianie oficjalnej religii, kupcom towarzyszyć zaczęli pielgrzymi odwiedzający święte miejsca chrześcijaństwa, a także ci, którzy pielgrzymowali do Góry Synaj, gdzie wszystko się przecież zaczęło. Część z nich pozostała w drodze, na Negewie, tak jak na przykład Sergiusz z Emesy (dzisiejsze Homs w Syrii), który zamieszkał w ufundowanym przez siebie kościele w Nessanie. Podobne fundacje miały miejsce w pozostałych osadach, stanowiąc przewyższając religijne potrzeby nawet najbardziej uduchowionych. Warto mieć na uwadze, że bazylika, zwłaszcza w tak wczesnym okresie, sama w sobie nie jest budynkiem zarezerwowanym wyłącznie dla potrzeb chrześcijaństwa, przez co możliwym jest również, że odkrywane budowle miały charakter administracyjno-handlowy, jak znane Forum Romanum. Sama stopniowo postępująca chrystianizacja, która weszła do wspomnianego pakietu, również pozostawiła swój odcisk na krajobrazie regionu. Nowe wierzenia przywiezione zostały najprawdopodobniej przez samych osadników-żołnierzy, chociaż nie można zapomnieć o św. Hilarionie, apostołe Arabów, i mnichach,

którzy naśladowując nowy ruch kościelny chcieli wyrwać się z miast i uciec na pustynię, wypełniając prorocstwo o przekształceniu jej w ogród. W swojej ucieczce wchodzili na tereny nieużywanych jaskiń i starych fortec z epoki żelaza, dostosowując je następnie do swoich religijnych potrzeb, wykuwając dodatkowe nisze lub dekoracje o charakterze kultowym.

Negew rozwijał się tak długo, jak długo pozostawał w ruchu. Koniec osadnictwa nastąpił ok. początku IX wieku n.e., kiedy zamarła lokalna odnoga szlaku handlowego. Ruch jednak tak do końca nie ustawał. Beduińscy pasterze, potomkowie Nabatejczyków, wzorem Abrahama i jego następców przez setki lat gnali i dalej gnają naprzód swoje stada, pokonując nawet 47 km w przeciągu 2,3 dnia (czas cyklu trawienno-drobnych przeżuwaczy – owiec i kóz).

Ponowne przebudzenie

Za nimi, po wielu wiekach, przybyli w końcu (ponownie) osadnicy, inspirowani snem Dawida Ben Guriona, snem o wolności i pokoju na rozkwitającej pustyni. Regionalna historia zatoczyła koło. Ponownie, po wiekach,

na Negewie rozkwitły bazy wojskowe i nastawione na rolnictwo kibuce. Stare osady znów są odwiedzane, tym razem przez turystów i badaczy, próbujących zrozumieć skomplikowane zagadnienia negewskiego fenomenu osadniczego, a także zaadoptować ich rozwiązania do problemów, z którymi mierzyć się musi współczesny człowiek w obliczu coraz bardziej kurczących się zasobów środowiskowych. Zaopatrzenie? Woda? Paliwo? Przegrzane pomieszczenia? Ze wszystkimi tymi problemami przyszło już zmierzyć się mieszkańcom starożytnych osad i wiele wskazuje na to, że odnieśli sukces – przeżyli w końcu na miejscu kilka pokoleń, a de facto nic ich nie zatrzymało.



MACIEJ WACŁAWIK

(ur. w 1989) - doktor archeologii wczesnochrześcijańskiej.

W swoich badaniach zajmuje się Pustynią Negew w okresie bizantyjskim (IV - VII wieku n.e.), zaangażowany jest również w prace w biblijnym Lakisz i wielu innych stanowiskach dookoła Basenu Morza Śródziemnego. Propagator archeologii wśród dzieci i młodzieży, m.in. w Polskiej Szkole w Tel Awiwie. W wolnych chwilach zaangażowany w działalność wspólnot katolików hebrajskojęzycznych. Autor książki „Byzantine Settlements of the Negev Desert: An Archaeological and Historical Synthesis” wydanej nakładem Cambridge Scholar Publishing



Cierpienie i pojednanie

tekst Dominik Flisiak

Nawiedzany koszmarami wojny, miotany lękami i załamaniem nerwowym – Jakob Steinhardt przenosił na płótno ścigające go przez całe życie demony. Chwytał też za dłuto, by z kawałków drewna wydobywać biblijne sceny. Przynosiły ukojenie w czasach, w których przyszło mu tworzyć.

Jakob Steinhardt urodził się 23 maja 1887 r. w Żerkowie. Był najstarszym z czwórki dzieci małżeństwa Josefa (Josepha) i Therese z domu Posener. Już jako dziecko interesował się rysunkiem. W wieku pięciu lat miał rysować sceny bitewne, a następnie portrety jego najbliższych, m.in. dziadka Wolfa. W 1896 r. Jakob rozpoczął naukę w berlińskim gimnazjum. Mimo, że edukacja zabierała większość jego czasu, nie zanieczywał jednak swojego zamiłowania do malarstwa. Wakacje starał się spędzać w rodzinnym Żarkowie. Systematycznie rozwijał swoje zainteresowania: odwiedzał muzea, regularnie czytał czasopisma poświęcone sztuce. Artystyczna pasja Jakoba stała w kontrze do jego rodziców, którzy nie podzielali zamiłowania młodego człowieka do malarstwa. Dopiero po kilku latach matka zrozumiała, jak ważna jest dla Jakoba działalność artystyczna.

Patetycy

W 1906 r. otrzymał stypendium na kolejne 8 lat. To dzięki tej pomocy finansowej studiował w latach 1907-1909 w berlińskim Kunstgewerbemuseum (Muzeum Rzemiosła Artystycznego). Podczas studiów podjął też naukę w malarzkiej pracowni Lovisa Corintha, który był prekursorem ekspresjonizmu, a także w pracowni granicznej Hermanna Strucka. W tym czasie Jakob poznał Samuela Hirszenberga i Ludwika Meidnera.

Wraz z Meidnerem i Richardem Janthurem (1883-1956) założył w 1912 r. grupę Die Pathetiker (Patetycy). Grupa interesowała się malarstwem ekspresjonistycznym. Przedstawiciele Die Pathetiker uważali, że obraz powinien być wyrazem przeżyć i wewnętrznego bólu artysty. W swoich pracach inspirowali się sztuką gotycką oraz dziełami El Greco. Twórcy Die Pathetiker malowali sceny z życia rozwijających się miast. Znajdowali własny sposób na przedstawienie lęków i fascynacji

ludzi mieszkających w metropoliach. Jakob wraz z współpracownikami sięgali też do tematyki biblijnej, przedstawiając wydarzenia związane z historią Kaina, proroków takich jak Jeremiasz, potopem czy przejściem Żydów przez Morze Czerwone.

W sztetlach

W 1914 r., wraz z wybuchem I wojny światowej, Jakob został powołany do armii niemieckiej. Służył na terenach dzisiejszej Polski i Litwy, tj. na ziemiach będących wtedy pod okupacją niemiecką. Podczas służby na froncie Jakob był świadkiem trudów i okropieństw wojny, z jakimi borykali się mieszkańcy sztetli, żydowskich miasteczek. Najprawdopodobniej właśnie wtedy spotkał grupę sympatyków syjonizmu, żydowskiego ruchu odrodzenia narodowego. Pod ich wpływem podjął naukę języka hebrajskiego i zaczął zastanawiać się nad emigracją do Palestyny. W 1917 r. jego rysunki z czasów służby na froncie odniosły spory sukces w Berliner Secession. Koniec wojny zastał Steinhardt'a na terenie dzisiejszej Macedonii. Po wojnie powrócił do Żerkowa, gdzie przez rok leczył się z powodu załamania nerwowego.

W 1920 r. Jakob ostatecznie wyjechał do Berlina. W wyniku przeżyć związanych z koszmarem wojny skłonił się ku drzeworytom, które, ukazane w ekspresjonistycznej stylistyce, miały odtąd przedstawiać tradycyjny sposób życia Żydów. W okresie powojennym Jakob wykonał ilustracje książkowe m.in. do Hagady na święto Pesach i utworów Icchaka Lejba Pereca. Jego prace były wówczas wydawane przez Verlag Für Jüdische Kunst Und Kultur Fritz Gurlitt. Instytucja ta była kierowana przez Karla Schwarza. Prace Jakoba poświęcone żydowskiemu, tradycyjnemu życiu spotkało się z pozytywnym przyjęciem przez berlińską publiczność. Jakob na tym polu konkurował z Josefem (Józefem) Budką.



DOMINIK FLISIAK

(ur. w 1990 r.) doktor historii, badacz niezależny. Tytuł naukowy uzyskał na Uniwersytecie im. J. Kochanowskiego w Kielcach. Autor wielu książek poświęconych społeczności żydowskiej na ziemiach polskich.



Na początku lat 30. XX w., w wyrazie sprzeciwu wobec rozwoju sił hitlerowskich w Niemczech, Jakob ponownie skoncentrował się na wątkach biblijnych. Na skutek narastających akcji antysemitycznych ze strony niemieckich faszystów w 1933 r. wyemigrował wraz z córką i żoną do Palestyny.

Trwoga

W nowej ojczyźnie Jakob malował m.in. sceny z życia religijnych Żydów mieszkających na jerozolimskim Starym Mieście. Część pracy poświęcał Żydom pochodzącym z krajów orientalnych i arabskim mieszkańcom Palestyny. Temu ostatniemu zagadnieniu poświęcał zwłaszcza drzeworyty - Wieś z minaretem, Wieś islamska oraz Odpoczywający Beduini. Skupiając się w części prac nad izraelskimi Arabami, Jakob chciał zmanifestować swoją nadzieję na normalizację relacji między nimi a Żydami. Docierające do niego informacje o Holocauście spowodowały, że część swoich prac poświęcił członkom żydowskiego, antyfaszystowskiego ruchu oporu i ofiarom niemieckich prześladowań. Nie brakowało też wątków syjonistycznych wysiłków zmierzających do odbudowy państwa Izrael.

W latach 50. Jakob tworzył drzeworyty nawiązujące tematyką do starotestamentowych wyobrażeń cierpień oraz pojednań: Racheli, Jakuba i Ezawa oraz do obecnego w połowie XX w. niepokoju o przyszłość ludzkości (Trwoga, Monstrum). W 1957 r. w barwnym drzeworycie stworzył swój autoportret. Artysta zmarł 11 lutego 1968 r. w Nahariji i tam został pochowany. Informacja o śmierci Steinhardta została zamieszczona w kilku czasopismach. Dotyczyło to m.in. polskojęzycznej gazety wydawanej w Izraelu - *Izraelskie Nowiny* i *Kurier. Codzienna gazeta informacyjna*.

Białe Miasto dla zaawansowanych

Tel Awiw. Nowoczesne miasto starożytnego narodu

Lukasz Tomasz Sroka

Wyd. Austeria, 2022

Izrael słusznie fascynuje wielu badaczy i pisarzy. Na temat państwa żydowskiego i jego miast wciąż powstaje wiele barwnych publikacji oraz przewodników. Jedną z najnowszych prac jest obszerna monografia prof. Łukasza T. Sroki pt. „Tel Awiw. Nowoczesne miasto starożytnego narodu”.

Bogate studium historii powstałego w 1909 r. Tel Awiwu jest bez wątpienia obowiązkową pozycją dla zainteresowanych Izraelem czytelników – zarówno historyków, politologów, przewodników czy dziennikarzy, jak i miłośników Izraela czy przykładających się merytorycznie do podróży turystów. Wszyscy znajdą w tej książce skarbnicę wiedzy o Białym Mieście. Walorem pracy jest przede wszystkim mnogość źródeł. Prof. Sroka sięga nie tylko po klasyczne źródła

historyczne (dokumenty i obszerną bibliografię poświęconą miastu), ale czerpie też m.in. z unikalnych reportaży Ksawerego Pruszyńskiego z Palestyny z lat 30. czy Antoniego F. Ossendowskiego z 1929 r. Kolejną warstwą ubogającą monografię są rozmowy z Izraelczykami, w tym z pochodzącym z Polski Marcelem Goldmanem, honorowym patronem książki. Ważnym filarem publikacji są źródła literackie, czyli twórczość polskojęzycznych autorów (Marii Lewińskiej, Jonatana Barkaia, Nili Amit czy Włodka Goldkorna), których imigracyjne wspomnienia z życia w młodym Izraelu dodają książce istotnego kolorytu. Książka prof. Sroki nie jest więc dla polskojęzycznego czytelnika jedynie historycznym studium, lecz tętniącą życiem wartościową pozycją o Tel Awiwie i Izraelu. *Tutaj Żydzi mogli poczuć się „u siebie”, co pozwoliło im na swobodne wyrażanie emocji. Dzielenie się radością, otwartość na drugiego człowieka, współbiesiadowanie w czasie wolnym – to jedne z głównych skojarzeń z Tel Awiwem, notowane przez odwiedzających to miasto już w pierwszych latach jego istnienia* – pisze prof. Łukasz T. Sroka - *Będąc miastem zwróconym*

ku przyszłości, nie zrywa z przeszłością i nie neguje jej. Wchodzi z nią w twórczy dialog. Nie powstało w kontrze do Jerozolimy rozumianej jako ośrodek stołeczny starożytnego Izraela i centrum judaizmu, lecz jako remedium na skutki jej upadku.



Tętniące życiem miasto, liczące już 114 lat, fascynuje swoją młodością, świeżością, elektryzującą intensywnością i architekturą, będąc swoistym skansenem Bauhausu. Zwrócone ku przyszłości - cytując prof. Srokę - pielęgnuje swoje dziedzictwo, dumnie przywołuje historię pionierskiego zamysłu, który z miasteczka na piaskach zamienił go w metropolię. Książka autorstwa prof. Sroki nie tylko dokumentuje historię tego barwnego miasta, ale też stanowi wartość dodaną w literaturze na temat Tel Awiwu.

Z wyższej półki

Przewodnik po mniej znanych lekturach w zbiorze tematyki żydowskiej Biblioteki Instytutu Polskiego w Tel Awiwie. Agata Krizevski zagląda na najrzadziej odwiedzane półki i przypomina tytuły, które warto odkryć na nowo.

Ziemia przeobiecana

Josef Kornblum

Wyd. Oficyna Literacka, 1993

Tym razem pochylamy się nad twórczością polskojęzycznego pisarza z Izraela - Josefa Kornbluma (1917-2008). Urodzony na Śląsku Cieszyńskim, wyemigrował do Izraela w 1935 r., by podjąć studia w ówczesnej Palestynie. W życiu zawodowym początkowo pracował fizycznie, następnie m.in. jako technik budowlany, a później w administracji państwowej. Choć talent pisarski odkrył w 1945 r., spisując wspomnienia „do szuflady”, jako pisarz zadebiutował dopiero w wieku 60 lat na łamach izraelskiego, polskojęzycznego czasopisma „Nowiny Kurier”. Twórczość Kornbluma stanowi nieocenione źródło wiedzy o Izraelu, szczególnie okresu od lat 30. aż do stworzenia państwa w 1948 roku.

Dolina Jezre'ela, skrótowo zwana przez Izraelczyków „Emek”. Dolina, po prostu i aż. Każdy, kto był w Izraelu chociażby raz i tylko przejeżdżał przez Emek, z pewnością westchnął kilka razy z zachwytem. To piękne miejsce było i jest zalane izraelskim słońcem, ale też potem imigrantów, którzy zakasywali rękawy wcześniej wyprasowanych i skrojonych w europejskim stylu koszul, i w pocie czoła budowali kibuce oraz osady na terenach ówczesnej Palestyny. Właśnie w te rejony zabiera czytelnika Josef Kornblum.

Rok 1935. Stacja wiertnicza w Jokneam, dzisiejszym mieście w Dolinie Jezre'ela. Tam, w gronie kolegów,



Obrazki izraelskie

Josef Kornblum

Wyd. Norbertinum, 2002

Przez wiele lat Josef Kornblum pracował jako elektryk, „pan złota rączka” do zadań specjalnych. Po godzinach wykonywał jednak zawód kronikarza, skrupulatnie spisując swoje perypetie i wspomnienia. Praca ta nie poszła na marne i zamieniła się w zbiór opowiadań pt. „Obrazki izraelskie”. Książka stanowi kolaż spisanych przez Kornbluma *Małych Dużych*

Historii. Znajdziemy tam zarówno opowiadania z 1945 r., jaki i z lat 80.

Wspomnienia z kawalerskiego życia w wynajmowanych kątem pokojach, opowiadki o życiorysach klientów wołających Kornbluma elektryka o pomoc, czy skrawki codzienności i rozmów z napotkanymi przechodniemi. W tle Tel Awiw na przestrzeni kilkudziesięciu lat, przed i po przełomowym 1948 roku. Opowiadania Kornbluma pełne są izraelskich smaczków, anegdot i ucieszą każdego czytelnika. Tego, znającego Izrael, wzruszą kolejną dawką nostalgii o „tych czasach, które już nie wrócą”. Temu, który o Izraelu jeszcze niewiele wie, dostarczą solidnej porcji wiedzy o atmosferze nowopowstałego państwa, przyglądając się losom imigrantów w *Nowym Starym Kraju*.

imigrantów z Europy (głównie z Niemiec i Austrii), znoonej pracy przy budowie studni podejmuje się Dawid – młody chłopak z Polski. Paczka młodzieńców, którzy chcąc nie chcąc skazani są na swoje towarzystwo na Dzikim Wschodzie, spędzają godziny na dyskusjach o stanie świata. Jakie owoce przyniesie ich pionierska praca? Kim jest Hitler, który dwa lata temu doszedł do władzy? Kiedy uda im się wyrwać kolejny raz do Hajfy i wskoczyć do arabskiej knajpy, żeby obejrzeć kuszący taniec brzucha? Ot, sprawy wyższej i niższej wagi.

„Ziemia przeobiecana” jest informacyjną studnią bez dna o powstającym Państwie Izraela. Nie o faktach historycznych, tylko tym, co najciekawsze – o życiu i codzienności, nastrojach społecznych, rozterkach i radościach imigrantów. Co więcej, jest świetnie poprowadzoną powieścią, stworzoną przez niezwykle utalentowanego Autora.

Cela z widokiem na morze

z Gazy pisze Barbara Urban-Nino

W Strefie Gazy, nazywanej największym na świecie więzieniem na otwartym powietrzu, więcej jest zakazów niż możliwości. Ale dziś nie o tym mowa.

Ten tekst, na przekór wszystkiemu, będzie o wolności.

Odpowiedź na pytanie o to, dlaczego w Gazie dzieje się coś, co nie byłoby do pomyślenia gdziekolwiek indziej, jest złożona i zasługuje na osobny tekst. Jak to się dzieje, że mieszkańcy Gazy nie mogą opuścić Strefy w celu nauki czy leczenia, nawet jeśli mają na to środki finansowe, a rybakom zabrania się wypływania w morze dalej niż kilka mil morskich, aby mogli napełnić swoje sieci? Po kilku wizytach w Strefie jako pracowniczka europejskich i amerykańskich organizacji pozarządowych, mam więcej pytań niż odpowiedzi. Ale ten tekst będzie o wolności. O tym, jak mieszkańcy Gazy próbują choćby na chwilę jej skosztować, poczuć wiatr we włosach i radość w sercu – pomimo rzeczywistości, w której zmuszeni są żyć.

Kadzidło, sardynki i morze

W Ramallah jeszcze ciemno. Budzik wybija ze snu: jest piąta rano. Mała torba już przygotowana. W sumie nie było co pakować. To tylko jedna noc poza domem: bluzka na zmianę, piżama, szczoteczka do zębów. Szybka kanapka, na kawę nie ma czasu. Taksówka już czeka na dole. Mijamy wzgórze Zachodniego Brzegu. Słońce nieśmiało wygląda zza horyzontu i wioski budzą się ze snu. O 7:30 jesteśmy w kawiarni na stacji benzynowej, niecały kilometr od przejścia Erez, czyli bramy wjazdowej do Strefy Gazy. Zaskakuje mnie, że kawiarnia i stacja wyglądają tak samo jak w roku 2007, kiedy wjeżdżałam do Strefy tuż przed przejściem władzy przez Hamas. Pijąc kawę czekam na opancerzony samochód i kolegów z pracy jadących z Jerozolimy. Dosiadam się i zaraz po otwarciu przejścia przejeżdżamy przez granicę. Jest pusto; mało kto dostaje przepustkę na wjazd. Na nasze czekaliśmy trzy tygodnie.

Z miseczki zupy, którą podaje nam kelner, wystają nogi kraba. Zakładam, że to nie ozdoba. Mam nadzieję, że mogę je zjeść, bo za krabami

i innymi owocami morza po prostu przepadam. Kremowa zupa, w której pływają małże, krewetki i małe ośmiorniczki, pachnie wymiennie. Zupę, jak zresztą wszystkie inne potrawy w Gazie, je się z łyżką w jednej ręce i z chusteczką w drugiej. Jest tak pikantna, że z nosa zaczyna kapać już przy drugim łyku. Pot z czoła spływa najpóźniej przy czwartym. Bez chusteczki i szklanki zimnej wody nie ma co zabierać się za jedzenie.

Po zupie przychodzi czas na smażone sardynki i sałatki – oczywiście tak pikantne jak przystawka. Po uporaniu się z jedzeniem - i całym pudełkiem chusteczek - odpinam guzik od spodni, by zrobić miejsce na kawę. Ta w Gazie jest inna od tej na Zachodnim Brzegu. Jej ziarna są mniej wypalone – a zatem jaśniejsze w kolorze. Kawa jest łagodniejsza w smaku, nieco bardziej kwaskowa.

Wieczorami miejscowe restauracje i knajpki są zapełnione. Pyszne jedzenie, szum fal i powiew morskiego wiatru działa kojąco na każdą duszę.

Podczas wyjazdów szlakiem kadzidla do Petry w Jordanii czy do ruin Avdat na pustyni Negew dziwiłam się, widząc port w Gazie na zamieszczanych w tych miejscach mapach z jego trasą. Mniej znany niż jego jedwabny odpowiednik, szlak kadzidla przeszedł okres rozkwitu między III wiekiem p.n.e a II wiekiem n.e. Kadzidło, tak ważne w tym regionie i w tradycji religii mono-teistycznych, bierze swój początek na Półwyspie Arabskim. Konkretnie - w obecnym Jemenie, gdzie rosło dużo drzew kadzidłowca indyjskiego, z których wytwarzano wonne substancje zwane kadzidłem i mirrą. Potem na wielbłądzych garbach wędrowały one przez Petrę do Avdat, i stamtąd przez Hebron do Jerozolimy i Damaszku, lub prosto do portu w Gazie. Następnie drogą morską przedostawały się w dalsze strony świata. W tamtych czasach Gaza była bramą na świat.

Stojąc w obecnym porcie Gazy, gdzie cumują tylko maleńkie, zniszczone łódki rybackie, które i tak nie mogą wypłynąć w szerokie morze by napełnić sieci bogactwem ryb Morza Śródziemnego, trudno mi wyobrazić sobie Gazę jako port tętniący życiem i handlem.

Do chwili obecnej odkrywane są w Strefie Gazy kolejne ruiny z okresu bizantyjskiego, które świadczą o okresie jej świetności. W 2022 r. palestyński rolnik zupełnie przez przypadek odkrył przepiękną barwną mozaikę. Eksperti z École Biblique w Jerozolimie szacują, że mozaika datuje się na V - VII wiek n.e. Mieszkańcy Gazy są z tych odkryć niezwykle dumni i cieszą się, że kiedy będzie już pokój, pokażą światu bogactwo swojego rejonu.

Chrześcijanie i meczety

W maleńkim kościółku św. Porfiriusza (zalewając 23 m długości i 9 m szerokości) co niedzielę gromadzą się wierni. Jest on miejscem modlitwy dla wspólnoty ok. 1200 chrześcijan wyznania grecko-prawosławnego. Dla tutejszych mieszkańców jest miejscem odpoczynku i otuchy. Jest pięknie wyremontowany i widać, że odgrywa wielką rolę w krzepieniu serc wiernych. Patron parafii, św. Porfiriusz, biskup z Gazy, słynny był z chrystianizacji tego rejonu na przełomie IV i V wieku n.e. Obecny kościół wybudowany był przez krzyżowców w 1150 r. na ruinach świątyni zbudowanej niedługo po śmierci Porfiriusza w 420 r. n.e. Tuż obok kościoła stoją ruiny meczetu Welayat, wybudowanego w 1432 roku, a słynny Wielki Meczet (wybudowany przez Krzyżowców jako kościół) znajduje się zaledwie kilkaset metrów dalej, na gazańskiej starówce. Spoglądam na przepiękne ikony i wystrój ołtarza, dopytując pana z zakrystii, czy tak bliskie sąsiedztwo meczetów nie jest dla nich problematyczne w niedzielnych spotkaniach. Spoglądam na mnie



zdziwiony, odpowiadając: „Przecież my tutaj od ponad 600 lat modlimy się obok siebie”. Kolejny wczesny poranek. Wstaję o szóstej, by pospacerować nad morzem. Ku mojemu zdziwieniu, na plaży jest już sporo osób. Głównie kobiety i rodziny z dziećmi. Większość się kąpie, spaceruje. Z daleka obserwuję nastolatka praktykującego salta i akrobacje. Nie wychodzi mu, ale nie poddaje się. Próbuje do skutku.

Determinacja i optymizm Gazan są zadziwiające. Nie wiem, czy bym tak potrafiła. Czy potrafiłabym wychować dzieci z optymizmem. Tylko tu spotkałam dzieci, które mając mniej niż 10 lat spisują testament wyliczając, kto z rodziny dostanie zabawki i ubrania, w razie gdyby zginęły podczas kolejnej ofensywy.

Młoda matka i jej nastoletnia córka tłumaczą mi, że to morze daje im siłę. To tutaj, na plaży, o świcie lub późną nocą, mieszkańcy Gazy mogą zaczerpnąć energii, odpoczywają – bo nigdy nie wiedzą, jaki będzie kolejny dzień. I czy w ogóle będzie.

Wizyta w biurze Atfaluna - lokalnej organizacji pozarządowej prowadzącej jedyną w Gazie szkołę, przedszkole i ośrodek terapii dla dzieci głuchoniemych - to temat na osobny artykuł. Dzięki dużemu wsparciu niemieckiego rządu działa sprawnie i wciąż rozwija swoją działalność. Młodzież kończy szkołę, odbywa szkolenia zawodowe i otrzymuje pomoc w znalezieniu pracy lub rozpoczęciu własnej działalności. Dowiaduję się, że młoda dziewczyna, która fotografowała wczorajszą uroczystość zakończenia szkoleń, w których brałam udział, jest właśnie absolwentką programu Atfaluna. Podczas uroczystości była profesjonalna i uśmiechnięta. Dla kobiety z niepełnosprawnością znalezienie pracy w Strefie Gazy, gdzie bezrobocie sięga ponad 45%, graniczy z cudem.

W drodze powrotnej do Ramallah, w wygodnym samochodzie, jedziemy w ciszy. Czuję się tak, jakbym została wypuszczona z więzienia. To było tylko półtora dnia. Jak czują się ci, którzy mają to na co dzień? Cieszę się, że spotkanie w Atfaluna zostało umówione jako ostatnie, podczas mojej dwudniowej wizyty w Gazie, bo napawa optymizmem i ułatwia proces uporania się z trudnymi myślami i odczuciami z ostatnich godzin. Wizyty w Gazie nie należą do łatwych. Uczą wiele o życiu, braku sprawiedliwości i ludzkiej bezradności wobec systemu. Odwiedziny w miejscu, które pomimo takich trudności wspiera osoby najbardziej potrzebujące, jest jak miód dla duszy.



BASIA URBAN-NINO

(ur. w 1976 r.) – przemierza świat wzdłuż i wszerz. Na Bliski Wschód trafiła 18 lat temu, tuż po studiach w USA, zupełnie przez przypadek. Prowadziła projekty edukacyjne w Jordanii i Syrii. W Ramallah wspiera relacje polsko-palestyńskie oraz rozwój palestyńskiej młodzieży i jej dostęp do rynku pracy. W wolnym czasie, z córkami Natalią i Zosią, odkrywa naturę.



Małe espresso

tekst Fryderyka Tzipi Bauman

Z torebki wyjmuję Twoją fotografię, jedyną, jaką mam w posiadaniu. Po raz setny patrzę na Twoją twarz w sepii. Ale czy można tak tęsknić za kimś, kogo nigdy się nie spotkało?

Koła samolotu dotknęły miękko płyty lotniska.

Im bliżej Ciebie jestem, tym bardziej wzruszenie dławi mi gardło.

Już wkrótce będę w Twoim mieście, tam, gdzie urodziłaś się Ty i Twój brat, mój ojciec. Już niedługo będę w Warszawie.

„A very smooth landing”, zauważył siedzący obok mnie Amerykanin. „My first time in Poland”, dodał. „How about you?” „Mine too”, odpowiedziałam nieprawdę. Bo jak to wszystko wytłumaczyć obcemu...

Już jako dziecko lubiłam, kiedy tata mówił do mamy: „Ona mi przypomina Chanę. Prawda, że podobna?”, upewniał się. „Oj, Chanale, Haneczko”, wdychał, przywołując imię najstarszej siostry. Gdy dorosłam, prosiłam go: „Opowiedz o niej. Opowiedz, Tato”. Miałam tysiąc pytań. Wtedy uśmiech - jego piękny, smutny uśmiech - gasł i nie mówił już nic.

Więcej nie pytałam.

Czytam Twój liścik i dziękuję Ci za to, że zgodziłaś się na krótkie spotkanie na kawę przed rodzinnym zjazdem. Jestem wzruszona, że podzieliłaś ze mną to pragnienie, byśmy się wreszcie poznały. Czekalam na to całe życie.

Parę godzin wcześniej.

Próbuję się uspokoić. Rozluźniam pas bezpieczeństwa, zerkam w okno w poszukiwaniu ukojenia w puszystych obłokach. Są jak pianka na bezie Pavlova, jak falbanka dziewczęcej sukienki.

„Kawy, herbaty, wina?” - pyta uprzejmy steward. Proszę o wodę.

Sucho mi w gardle.

Z torebki wyjmuję Twoją fotografię, jedyną, jaką mam w posiadaniu. Po raz setny patrzę na Twoją twarz w sepii. Wpatrzona w nią wracam myślami do epoki, w której modne były takie fryzury. Charakteryczne w latach trzydziestych „pazie”. Podziwiam jedwab eleganckiej bluzki, ruch dłoni, lekki uśmiech. I to, jak kokieteryjnie przechylasz

głowę, jak wdzięcznie dotykasz perel na szyi. Twój uśmiech, Twoje spojrzenie - umiejętnie utrwalone przez warszawskiego fotografa - zawsze mnie fascynowały.

Kim jesteś?

Jak brzmi Twój głos? A Twój śmiech, gniew? Jaka jest Twoja ulubiona potrawa?

A kolor?

Kwiat?

Jak wyglądasz stojąc, poruszając się, spiesząc się?

Czy śpisz spokojnie, czy rano przegania koszmary Twoich snów?

Czy żałujesz powiedzanych słów, czynów, decyzji?

Czy łatwo się denerwujesz?

Czy umiesz przeproszać, czy przyznajesz się do popełnianych błędów?

Czy łatwo się peszysz?

Co wtedy robią Twoje dłonie? Jaki wyraz ma Twoja twarz?

Czy masz zwyczaj dzielić się troskami, marzeniami, trwogami?

Czy lubisz tańczyć?

Jaką muzykę wolisz? Strasznie jestem ciekawa, z kim z rodzeństwa jesteś blisko?

Czy wolisz teatr, a może kino?

Kto jest Twoim ulubionym pisarzem?

Czy wypędzona z domu, zdążyłaś zabrać coś dla Ciebie cennego?

Te perelki? Szalik?

Książkę?

Nie mogę doczekać się naszego spotkania. Tak bardzo pragnę Cię poznać, podejść do Ciebie. A Ty pozwolił mi się przytulić i wreszcie, po raz pierwszy, powiedzieć do Ciebie słowa: „Witaj, Ciociu”. Ciocia, Chana, Chanale, Haneczka - ukochana siostra taty.

Moja Ciocia. Moja krewna. Moja krew.

Samolot się zatrzymuje.

Mam parę minut, by zebrać myśli i wsunąć do torebki Twoją fotografię.

Już blisko terminalu. „Pogoda przyjemna, 22 stopnie” oznajmia pilot.

Maj, myślę sobie, bez, wyczuwam bez.

Pięćdziesiąt lat po wyjeździe wyczuwam zapach bzu. Znajomi, państwo Smolak z córką Asią, pewnie już oczekują mnie na przylotach.



Niestety, Ty na mnie nie czekasz.

Ty tego liściku do mnie nie wysłałaś. Wszystko wymyśliłam. Wymarzyłam. Twoje zaproszenie, moją odpowiedź. Wymarzyłam sobie tak, jak to robię całe życie. Wymyślam, marzę, bo nie mogę pogodzić się z tym, że nie ma Cię nigdzie na świecie. Nie mogę się z tym pogodzić i nie mogę rozstać się z marzeniem. Żyjesz w nim. Młoda, piękna, na wieki 20-letnia. Żyjesz we mnie i moich marzeniach

Tam się spotykamy.

„You only live twice or so it seems. Once for yourself and once for your dreams”, śpiewa Nancy Sinatra. „Żyje się tylko dwa razy, tak się zdaje. Raz dla siebie, a raz dla swych marzeń”.

Więc marzę, szukam Cię i czekam na Ciebie. Szukam Cię, gdziekolwiek jesteś. Tym razem w Warszawie.

Spotkamy się w warszawskiej kawiarence, pachnącej jabłecznikiem. Tylko pamiętaj - narożny stolik. Jeśli będziesz pierwsza, zamów nam małe espresso.



FRYDERYKA TZIPI BAUMAN

(ur. w 1946 r. w Wałbrzychu) do wyjazdu z Polski w 1957 r. mieszkała z rodzicami i starszym bratem Danielem we Wrocławiu. Wojnę rodzina Tzipi przeżyła w Uzbekistanie; część rodziny zginęła w warszawskim getcie, reszta została zgładzona w Treblince. Po wyjeździe z Polski mieszkała w Izraelu i w USA. Dziś jest emerytką, mieszka w Kfar Sabie. Interesuje się historią i językami obcymi, jako wolontariuszka pisuje o Holokauście do miejscowego kwartalnika „Alumon” i spotyka się z uczniami lokalnych szkół, by przybliżyć im historię swoich przodków.

Pokaż mi, co jesz, a powiem ci, kim jesteś

tekst Katarzyna Sitek



Izraelczycy mają w sobie ten charakterystyczny luz, który nam, Polakom, szczególnie przypada do gustu. „Zakochaliśmy się w Izraelu” - prawie za każdym razem słyszę od koleżanek i kolegów wracających z podróży. Poza opisami słonecznej pogody, niesamowitych plaż i pysznego hummusu większość z nich skupia się na tym, jak fajnych ludzi spotkali na swojej drodze. W myśl dziewiętnastowiecznej frazy - pokaż mi, co jesz, a powiem ci, kim jesteś - nie dziwi fakt, że Izrael radosnym jedzeniem stoi.

Przeżyciem samym w sobie są odwiedziny na targu w porze lunchu. Stali bywalcy i turyści przekrzykują się nawzajem przy skwierczących na grillu szaszłykach z kurczaka, zwanych pargiot, i świeżo nabitych na rożen aromatycznych kebabach. W tym chaosie powstają nowe przyjaźnie, eksplodują kłótnie, a życie tętni swoją pełnią.

Kultura jedzenia w Izraelu nieodłącznie wiąże się z rozmową i byciem razem. Zachęcają do tego serwowane niemal w każdej restauracji przystawki mezze. Dla turysty odkrywanie przy stole nowych smaków, np. sałatek tabulleh, matbucha czy baba ganoush, dostarcza tematów do dyskusji o kulinarnych tradycjach, przyzwyczajeniach i obyczajach.

Zawsze bliski mojemu sercu będzie smak frytek posypanych startym serem feta i przyprawą za'atar. Przypomina mi to czas, gdy z przyjaciółmi chodziliśmy do knajpek przy Wielkiej Synagodze w Tel Awiwie. Zazwyczaj przy stolikach nie było już miejsca, więc siadaliśmy na krawężniku i podawaliśmy sobie z rąk do rąk talerz wypełniony tym smakołykiem. To była

nasza stała, weekendowa przekąska, w czasie której planowaliśmy, gdzie tej nocy pójdziemy potańczyć. Sharing is caring.

Obecność w jednym miejscu tak wielu kultur powoduje, że świat staje się bardziej dostępny, życie z innymi jest normą, a nawet źródłem inspiracji. O wiele lepiej wspomina się adżarskie chaczapuri z rodzinnej gruzińskiej restauracji w centrum Jerozolimy, kiedy zagryzione jest perfekcyjnym churros serwowanym przez uśmiechniętą Meksykankę na gwarnym bazarze Machane Yehuda. W Izraelu wszystko zdaje się być bardziej kolorowe, nie tylko dzięki niebieskiemu morzu, złotemu piaskowi i zieleni palm. Izrael mieni się barwami przypraw i składników potraw, a także flagami z miejsc pochodzenia właścicieli straganów, barów i restauracji.

Izraelskie piekarnie to dla mnie mikroświaty, pozwalające w krócej niż 80 dni zwiedzić całą Ziemię. Poczuc Francję dzięki różnym wersjom croissantów i quiche'ów. Zajrzeć do Włoch przez kolorowe kawałki pizzy i focaccie. Dać się skusić arabskim baklawom walczącym o moją uwagę z argentyńskimi alfajores.

Grillowany bakłażan polany sosem tahini i posypany natką pietruszki nie potrzebuje nakładanych szczypcami jadalnych kwiatów na wzór restauracji z gwiazdką Michelin. Prawda jest w smaku i jakości, a Izraelczycy są równie bezpośredni jak ich jedzenie. Przecież falafela lub shoarmy nie da się zjeść elegancko. Jedzenie je się rękami. Ten brak formalności to przejaw głębokiej świadomości, że głód jest ten sam - nieważne, czy jesteś biznesmenem, czy kasjerem w supermarkecie. Marzenie o tym, by

wgryźć się w ciepły, miękki chlebek pita i poczuć smak swojego ulubionego sabicha czyni nas wszystkich równymi.

Na co dzień na izraelskich plażach zobaczymy zarówno młodych jak i starych, szczupłych i tęższych, bez kompleksów czy skrępowania cieszących się obcowaniem z przyrodą. W miejskim skwarze Hajfy przechodnie piją orzeźwiający sok z lokalnie uprawianych pomarańczy. W smagającym słońcem Eilacie uczniowie na wycieczkach klasowych jedzą najskuteczniejsze w gaszeniu pragnienia kawałki schodzonego arbuza. Co może być bardziej oczywiste, bardziej zgodne z naturą?

Akceptacja swojego ciała, myśli i potrzeb pozwala na otwartość, którą często interpretuje się jako arogancję lub bezczelność. Ale w tej prostolinijności jest szczerłość, która sprawia, że Izraelczycy są po prostu wolni, a przez to bardziej szczęśliwi.



KASIA SITEK

(ur. w 1985) – restauratorka, twórczyni bistra Sabich w Warszawie (pierwszego lokalu z sabichem w Polsce), popularyzatorka izraelskiej kultury i stylu życia. Pasjonatka wspinaczki skałkowej, która kilka lat temu odnalazła swój drugi dom w Tel Awiwie.

Szanując dziecko, dajesz mu siłę

Janusz Korczak nie miał konkretnej metody wychowawczej. Pracował z dziećmi, opisywał doświadczenia, poddawał je krytyce. Wierzył, że człowiek cały czas powinien dążyć do poprawy, i że w dzieciach jest to potrzeba naturalna, której wystarczy nie tłumić. Na tym polega szacunek: pozwolić dziecku być tym, kim jest – mówi Batia Gilad w rozmowie z uczniami Szkoły Polskiej w Tel Awiwie.



Uczniowie SP w Tel Awiwie: Jest Pani nauczycielką. W jaki sposób zainspirowała Panią zawodowo postać Janusza Korczaka?

Batia Gilad: Według Korczaka najpierw trzeba zobaczyć dziecko. Korczak mówił, że od dziecka można się nauczyć o wiele więcej, że to ono może nas poprowadzić drogą, której nie znamy. Gdy wchodziłam kiedyś do klasy, mówiłam uczniom: wy macie Internet i bardzo łatwy dostęp do informacji, do wiedzy, możecie przeczytać sobie na przykład o II wojnie światowej - do tego nie potrzebujecie nauczyciela. Ja przynoszę Wam moje życiowe doświadczenie. I to jest właśnie lekcja, jaką daje nam Korczak.

Czego zatem nauczyła się Pani od dzieci?

W 2006 roku Izraelu trwała druga wojna z Libanem. W okolicy mojego domu w Hajfie doszło do strzelaniny. Ze strachu przed kolejnym incydentem wyjechałyśmy z koleżanką i jej dziećmi do kibucu, by poczuć się bezpiecznie. Na miejscu dzieci poszły do przedszkola. W krótkim czasie same poznały cały kibuc, pokazały mi, gdzie można chodzić, gdzie są place zabaw itd. To ja chodziłam za nimi, a nie one za mną. I to jest właśnie esencja korczakowskiej idei: dać dzieciom wolność.

Zajmuje się Pani również tematem praw dziecka.

Nie wiem, czy wiecie, ale istnieje Konwencja Praw Dziecka przy ONZ, która ma 51 paragrafów. Konwencja została ratyfikowana w 1989 roku po aż dziesięciu latach pracy! Dokument ten jest oparty na myśli Janusza Korczaka. To on pisał do Ligi Narodów, że 1/3 ludzkości to dzieci, więc im też należą się prawa. Wszystkie kraje, oprócz USA, podpisały tę konwencję. Do dzisiaj nie wiemy, dlaczego tak się stało. Do dziś międzynarodowe stowarzyszenie korczakowskie w Nowym Yorku próbuje przekonać rząd do zmiany decyzji w tej sprawie.

Jakie jest według Pani najważniejsze prawo dziecka?

Prawo do szacunku. Bo co to jest tak naprawdę

szacunek? W szacunku możemy doszukać się wszystkich innych praw. Bo jeśli mam do kogoś szacunek to będę go słuchać, nie będę używać wobec niego przemocy, pozwolę mu napisać albo powiedzieć wszystko, co chce. Ale chodzi tu o szacunek do dziecka jako człowieka. Według Korczaka i Pani Stefy dziecko jest człowiekiem od momentu urodzenia.

Wróćmy do czasów sierocińca. Wspomniała Pani o Stefanii Wilczyńskiej – współpracownicze Janusza Korczaka. Czy to prawda, że była bohaterką?

5 sierpnia 1942 roku dzieci z sierocińca wraz z wychowawcami, Januszem Korczakiem i Panią Stefą wyruszyły, jak wiadomo, w swoją ostatnią drogę, na śmierć. Zawsze mówi się, że na czele dzieci szedł Korczak. Ale on tam nie szedł sam: pani Stefa była obecna zarówno podczas ostatniej drogi dzieci, jak i w każdym momencie życia wychowanków. I powiem Wam coś jeszcze. Stefa w 1939 roku zostawiła warszawski Dom Sierot i przyjechała do Palestyny. Dostała pozwolenie od władz brytyjskich na wjazd i pojechała do koleżanki do kibucu Ein Harod. Właściwie zrobiła aliję. Po mniej więcej półtora roku, widząc szalejącą w Europie wojnę, opuściła Palestynę i wróciła do Warszawy. Kolegom w kibucu powiedziała: „moje dzieci są w Warszawie”. Pani Stefania była prawdziwą bohaterką!

Jaka jest Pani misja w życiu? Robi Pani tyle ważnych rzeczy.

Moja misja się już zakończyła, jestem w wieku waszych babć. Ale całe życie chciałam robić dla dzieci jak najwięcej dobra. Wybrałam zawód nauczycielki, potem zostałam dyrektorką szkoły. Gdy wchodziłam do starszych klas i rozmawiałam z młodzieżą w wieku 16 -18 lat, zamiast wymagać od nich tak jak inni nauczyciele - by się uczyli, zdawali egzaminy na możliwie najlepsze końcowe oceny - ja mówiłam im coś innego. „Macie na początek wszyscy 100 (najwyższa ocena w izraelskim szkolnictwie - przyp. red.). Teraz waszą misją jest pilnować

tej setki. Macie starać się nie dla mnie, lecz dla tego kredytu, który dostaliście na początek”. Obracałam sprawy o 180 stopni. Mam nadzieję, że to im zaprocentowało.

Czy poznała Pani jakiegoś wychowanka Janusza Korczaka?

Tak, poznałam Leona Gluzmana, który opuścił warszawski sierociniec w 1930 roku i wyjechał do rodziny adopcyjnej w Kanadzie. Gdy miał 7 lat, tak jak inni wychowankowie, dostał pocztówkę. Jego była w kwiatki, niezapominajki. Na tych pocztówkach zapisane były różne liczby. Pan Leon opowiedział nam, że kiedy dziecko opuszczało sierociniec, wszyscy - wychowankowie i wychowawcy - głosowali, czy uważają, że będzie pożytecznym obywatelem jak będzie dorosły. Pan Leon dostał 4 głosy za, 6 przeciw i 16 niezdecydowanych. Pożyteczny obywatel znaczy optymistyczny!

Czy Janusz Korczak był optymistą czy pesymistą? Czy tak jak Rousseau wierzył, że człowiek rodzi się dobry, a społeczeństwo go psuje? Czy jak Hegel - odwrotnie, że rodzi się zwierzęciem, a społeczeństwo czyni go człowiekiem?

Korczak przede wszystkim mówił o dziecku, że od początku jest ono człowiekiem - od momentu urodzenia. A człowiek jest dobry. On był zdecydowanie optymistą! Czytając jego pisma można zobaczyć, że nie miał on konkretnej metody wychowawczej. Po prostu pracował z dziećmi, opisywał doświadczenia, poddawał je krytyce. Z tego, co robimy, trzeba wyciągnąć wnioski. Człowiek cały czas powinien dążyć do poprawy. Poprawa to optymizm, a jeśli zostajemy przy tym samym, to jest to oznaka pesymizmu. A dzieci chcą zmiany, poprawy, tylko trzeba im na to pozwolić. Na tym polega szacunek - pozwolić dziecku być tym, kim jest. I wtedy ono samo dojdzie do tego, czego chce. Na dorosłym spoczywa jednak odpowiedzialność, bo przecież nie chodzi o to, żeby pozwolić dzieciom na wszystko. Trzeba być uważnym, by w tej wolności nie zrobiły sobie krzywdy.



BATIA GILAD

nauczycielka, działaczka społeczna, przewodnicząca Międzynarodowego Stowarzyszenia im. Janusza Korczaka oraz Centrum Edukacji Korczaka w Izraelu, uhonorowana Orderem Uśmiechu. 30 maja Batia była gościem Szkoły Polskiej w Tel Awiwie. Okazją do rozmowy był Dzień Dziecka oraz warsztaty dziennikarskie dla uczniów Szkoły, podczas których dzieci pod okiem naszych redaktorek uczyły się sztuki wywiadu. Rozmowa z Batią jest efektem ich pracy.

